NASZA BIBLJOTEKA

KAMIL GIŻYCKI

POLOWANIA EGZOTYCZNE

KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

POLOWANIA EGZOTYCZNE

NASZA BIBLJOTEKA

Nr 17

KAMIL GIŻYCKI

POLOWANIA EGZOTYCZNE

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
1927

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA

KAMIL GIŻYCKI

POLOWANIA EGZOTYCZNE

KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI
Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
CZYTELNIA „ŚWIT"
Polski Związek Łowiecki
Nr. 657
BIBLIOTEKA
Górnośląska 16 m. 38

LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
1927

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr. 2170

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr 2170.

Giż
Pol

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
pod zarządem A. Wierzbickiego

DO CZYTELNIKA

Krótkie nowelki, zawarte w niniejszej książeczce, są osobistemi przeżyciami autora w podróżach po Azji północnej i środkowej, oraz po Afryce zachodniej. — Dzikie, mało zaludnione obszary Syberji, porośnięte borami, w których tajemniczem wnętrzu królują niedźwiedzie, pełne są przeróżnej zwierzyny, polowania jednak w tych borach nie są zorganizowane, ani tak łatwe jak w Europie. Myśliwi wkraczając w mroki tajg, są wystawieni na tysiące niebezpieczeństw; często staczają krwawe walki z drapieżcami, nie zawsze wychodząc z tych zapasów zwycięsko. Bujna, dzika przyroda pociąga ludzi ku sobie, czaruje ich ukrytemi wdziękami, nagradzając chwile najcięższego wysiłku zachwycającemi widokami, zazdrośnie chronionemi przed oczyma profanów.

Kto zakosztował pełni życia wśród dzikiej przyrody — ten na zawsze nosi w sobie zarodki tęsknoty, za tym krajem baśni, pełnym szeptu gałązek stuletnich drzew, huku nie ujętych w karby, roznamiętnionych potoków bijących z uporem w skały, torujących sobie drogę w niziny, wiatrów lekkich i cichych jak kołysanka matki nad kolebką jedynaka, lub wichur pełnych grozy, orkanów rozszalałych w swej niepowstrzy-

manej sile, niosących się jak duch zniszczenia po przez urwiska skalne. Matka natura otacza tu każdego swą opieką, dając jednemu siłę mięśni, innemu bystre oko, lub lekkie sprężyste nogi, przystosowując swe dzieci do życia wolnego, zaprawiając każde do walki o byt, o zachowanie swego gatunku.

Na równych prawach znajduje się tu człowiek. Tylko ten istnieć tam może, kto nieprzerwanie uczy się poznawać życie lasów, stepów, bezbrzeżnych mokradeł, lub wysokich, nieprzebytych dżungli, kto wnika w tajniki przyrody — kto ją kocha.

Opowiadania pomieszczone tutaj, odnoszą się do różnych epok życia autora, są-też drobną cząstką wydarzeń i przypadków, tak obfitych w życiu każdego prawie podróżującego po krajach dzikich jeszcze, pełnych zwierzyny, której nie zdołano wytępić gromadnemi obławami z naganką; gdzie zwierzę ma możność ratowania się ucieczką, czy też staje w szranki z myśliwym, a o zwycięstwie decyduje nie najnowsza automatyczna broń, lecz dokładna znajomość zwyczajów zwierzyny i umiejętność przystosowania się do otoczenia.

Opis walki z wilkami odnosi się do czasów podróży autora w północnych stronach Syberji, polowania na marale i niedźwiedzie z czasów pobytu w borach ciągnących się na ogromnej przestrzeni w południowej części Ziemi Minusińskiej, gdy autor zmuszony był chronić się w niedostępne knieje przed zemstą bolszewików w 1920 r. „Argale i Kozły skalne" to opowiadania z polowań w dzikich urwiskach gór Mongolji, do której autor dostał się po niefortunnych walkach z bolszewikami na terytorjum Urjanchaju w 1921 r.

„Anka" to imię dzielnej piętnastoletniej Tunguski, która autorowi ocaliła życie, w czasie jego pobytu w północnych okolicach jeziora Bajkalskiego.

„Mój pierwszy słoń" i „W dżungli afrykańskiej" to opis polowań w Afryce zachodniej, w bogatej kolonji francuskiej Côte d'Ivoire (Wybrzeże kości słoniowej).

ARGALI.

Siedziałem w namiocie gościnnego księcia Aczitu-Wana[1]), paląc mongolską fajkę i popijając kumys, gdy nagle przed jurtą ukazał się na spienionym koniu Mongoł, szybko zeskoczył z siodła, rzucając na ręce podbiegającego chłopca-sługi czambur[2]) od uzdy. Po małej chwili wszedł do jurty urzędnik kniazia, oznajmiając przybycie dozorcy trzód książęcych, pasących się na letnich pastwiskach.

Aczitu-Wan łaskawym ruchem ręki dał znak, zezwalający na wejście gościa.

W tejże chwili przestąpił próg jurty młody, krępy Mongoł, ubrany w długi zielony terłyk[3]), ściśnięty jedwabnym pasem. Młodzieniec miał na głowie wysoką ostrą czapkę mongolską, zakończoną dużą mleczną gałką, oznaczającą stopień dzangina, t. j. podporucznika. Mongoł zatrzymał się tuż koło progu jurty, przysiadł na ziemi, kornie chyląc się przed kniaziem i raz po raz przykładając ręce do piersi.

---

[1]) Ks. Wan (dzjun-wan, doroj-dzjun-wan j. t. II stopień w hierarchji książąt mongolskich. Aczitu Wan miał jeszcze tytuł Dżan-dżina t. z. generała Wan ma na czapce duży koral, oznakę godności, siodło, czaprak i uzdę na koniu również czerwoną.

[2]) Czambur = długi rzemień, używany przez Mongołów do przywiązywania konia.

[3]) Terłyk = mongolska narodowa szata wierzchnia (rodzaj chałata)

„Sain“ [1]), ozwał się krótko książę.

„Sain, sain bajna“, odpowiedział gość, następnie w krótkich słowach jął opowiadać, że ogromne stado argali zatrzymało się na zboczu gór, odległych od stawki księcia o dobrą godzinę jazdy konno.

Kniaź był zapalonym myśliwym, więc też z uśmiechem zaproponował mi wycieczkę, przyjętą przeze mnie z radością.

Kilkakrotnie polowałem już na argali w okolicach Ułankomu, potem w górach Ałtajskich, nigdy jednak nie widziałem Mongołów, polujących na tę piękną zwierzynę z łukami, tą tradycyjną bronią mongolską, to też prosiłem księcia, aby pozwolił swym łucznikom wziąć udział w polowaniu.

Wan wydał odpowiednie rozkazy swemu dzakirokczi [2]) i już po chwili przed namiotami księcia oczekiwało kilkudziesięciu jezdnych, fantastycznie wyglądających w swych mongolskich strojach. Część z nich uzbrojoną była w rosyjskie karabiny wojskowe, część w stare niemieckie mauzery, kilkunastu zaś miało łuki i szable.

Kawalkada pomknęła odrazu z kopyta. Konie par-

---

[1]) Zwykłe powitanie mongolskie. Gość, wchodzący do jurty wita gospodarza słowami: „Sain bajnu“, t. zn. czy dobrze jest?, gospodarz odpowiada: „Sain bajna“, jest dobrze. — Po przywitaniu się z gospodarzem każdy Mongoł zapytuje się o zdrowie tabunów koni, stad owiec i krów, potem dopiero o zdrowie gospodarza, na samym zaś końcu interesuje się w bardzo powściągliwej formie zdrowiem gospodyni i jej dzieci. — W stosunku do książąt Mongołowie nigdy nie witają ich pierwsi słowami, czekając aż kniaź odezwie się pierwszy, również nie zadają pytań co do zdrowia stad etc.

[2]) Dzakirokczi — pomocnik Wana w sprawach wojskowych. Na czapce nosi niebieską nieprzezroczystą gałkę; jest księciem niższego stopnia, — sprawuje władzę czysto wojskową, nie mieszając się do administracji cywilnej, której najwyższym przedstawicielem po Wanie jest tussułakczi.

Argali *(Ovis argali).*

skały na dobrą wróżbę i nurzały się w bujnej, wysokiej trawie; — przed nami rozciągał się step bezbrzeżny, sfalowany pagórkami, przechodzącemi hen wdali w długi, ostro rysujący się łańcuch gór.

Wśród zielonych traw znaczyły się tu i owdzie białe plamy dużych stad baranów, czasem przeciągały tabuny koni, które pędzili napół goli koniuchowie, trzymający w rękach długie żerdzie z pętlicami na końcu, t. z. „urgi", do łapania koni, to znów widać było poważne wielbłądy z obwisłemi garbami, lub karawany kupców, przewożących towary na jucznych koniach lub długowłosych sarłykach [1]).

W powietrzu przelatywały stada gęsi i kaczek, czasem jak kwiat biały płynął w powietrzu łabędź,

[1]) Jaki tybetańskie, zwane przez Mongołów sarłykami.

a koło strumieni i częściowo wyschniętych bagnisk brodziły czarne bociany, kuliki, lub darły się fałszywemi głosami żółte kaczki, nazywane przez Mongołów „lama“ i uważane przez nich za świętość.

Kilkakrotnie przebiegały nam drogę zwinne antylopy, dzerenie[1]); piękne te zwierzęta, widząc nadjeżdżający nasz oddział, poczęły jakby ze zdziwieniem przypatrywać się koniom i ludziom, następnie niepokoić, wreszcie zerwały się rączo do biegu, przecinając nam drogę.

Aczitu-Wan nie pozwolił swym Mongołom strzelać do dzereni z broni palnej, sam jednak wziął z rąk przybocznego sługi duży mongolski łuk i puścił konia ku antylopom. Towarzyszący nam Mongołowie ruszyli się pojedynczemi grupkami w ten sposób, że stado dzereni, wierne swemu zwyczajowi przebiegania drogi, musiało mijać każdą pojedyńczą grupę, zbliżając się do nas na dwadzieścia do pięćdziesiąt kroków. Wan strzelał z łuku wprost fenomenalnie. Wybierał on zawsze pokaźniejszego samca i słał w niego niechybną strzałę, która wbijała się prawie po brzechwę w ciało zwierzęcia. Próbowałem i ja łuku, lecz czyto z braku wprawy, czy też siły — strzały moje przelatywały najdalej dwadzieścia kroków, padając płasko na ziemię. Raz tylko — przypadkowo widocznie — jedna ze strzał, wypuszczonych przeze mnie, wbiła się w udo dzerenia. Zwierzę padło na ziemię, lecz po chwili zerwało się i poczęło biec za stadem, kulejąc jednak silnie. Kilku Mongołów puściło się za nim w pogoń i po kilku minutach jednemu z towarzyszących nam ułaczenów[2]) udało się urgą chwycić dzerenia.

---

[1]) Gazela gutturosa.

[2]) Ułaczen = przewodnik ze stacji przejezdnej, zarazem pastuch koni.

Wielokrotnie przedtem widywałem w Mongolji stada dzereni, liczące 60—150 sztuk, opowiadano mi jednak, że w mniej ludnych okolicach Gobi spotykano stada, liczące po kilka tysięcy głów. — Mięso dzereni jest bardzo smaczne, skóra nadaje się do różnych wyrobów; chińscy kupcy, podróżujący zimą po Mongolji, często noszą „dochy“ [1]) ze skór tych zwierząt. Dochy te są podobno bardzo ciepłe. — Wjeżdżając w okolicę bardziej górzystą, musieliśmy wstrzymywać konie, gdyż całe prawie podnóże góry zryte było przez tarbagany. Jest to rodzaj świstaka, żyjącego wprost w niezliczonej ilości w Mongolji. W niektórych miejscach podnóża gór są tak zryte jamami, w których tarbagany mieszkają, że koniom co chwila zapadają się nogi głęboko w ziemię, grożąc złamaniem. Na świstaki te polują Mongołowie zawzięcie, raz dla smacznego mięsa, po wtóre dla skór, chętnie skupowanych przez Chińczyków. Mongołowie, polując na tarbagany, bardzo rzadko używają broni palnej, lecz zabijają niezgrabne, tłuste zwierzęta kijami.

Objechawszy bokiem kolonję świstaczą, wjechaliśmy w głęboki jar, przez którego środek sączył się strumyk, w niewielkiej odległości od niego stało kilka zamożnych jurt mongolskich, ozdobionych wysoką żerdzią z dużą wiechą trawy na wierzchu.

Był to urton [2]).

---

[1]) Docha, długie okrycie, mające futro z wewnętrznej i zewnętrznej strony.

[2]) Urton = stacja przejazdowa, gdzie podróżni za okazaniem biletu jazdy, t. j. dzaru, otrzymują konie wierzchowe i juczne lub też wielbłądy i sarłyki. Stacje takie są oddalone od siebie o 25—30 km. i są rozrzucone po całej Mongolji, tak że można ją przejechać w dowolnym kierunku, używając tylko urtońskich koni. Urtony utrzymywane są przez biedniejszych Mongołów, którzy, pozostając na tej służbie, zwolnieni są od podatków; tabuny koni urtońskich są własnością księstw.

Z jurty wybiegł szybko gospodarz urtonu, przybrany w odświętne szaty, i powitał księcia, rzucając się plackiem na ziemię.

Zapytany o zwierzynę, oznajmił, iż kotlina, do której zeszły argali, jest już otoczona przez Mongołów i barany w żaden sposób ujść nie mogą.

Przebywszy jakieś dwa kilometry wgórę potoku, poczęliśmy wspinać się ku szczytom, ukoronowanym potężnemi masywami skalnemi. Trawa rosła tu skąpo małemi kępkami, zwietrzałe skały tworzyły rozsypiska, zsuwające się ciągle wdół. Malowniczo wyglądały te fantastycznie postrzępione zwały kamienne, robiące zdali wrażenie opuszczonych ruin starych zamczysk z zamierzchłych czasów.

Konie nasze stąpały nader ostrożnie, próbując nogami każdy kamień, każdą podejrzaną kępkę. Towarzyszący nam Mongołowie szli długiem koliskiem, zajmując zbocze góry.

Mimo uciążliwej drogi doszliśmy do szczytu prawie bez szelestu; konie pozostały pod opieką koniucha tuż u podnóża skał.

Prześlizgując się między zwałami kamieni, dotarliśmy do szerokiej platformy, lejkowato schodzącej wdół i tworzącej rodzaj olbrzymiego krateru dawno wygasłego wulkanu. Cała dolina była porośnięta piękną, soczystą trawą, tu i owdzie leżały zwalone skały i ogromne bryły kamienne.

Na jednem zboczu doliny zobaczyłem stado argali, złożone z trzydziestu paru sztuk. Pasły się spokojnie, grupkami po pięć i więcej. Przy samicach bawiły się małe baranki, przewracając się lub bijąc nawzajem głowami, nieco niżej leżało kilka samców wyciągniętych w całej okazałości, widocznie wygrzewających się na słońcu, niedaleko zaś od potężnej skały, oderwanej widocznie od masywu, leżał ogromny samiec, prawdo-

podobnie poważny pater familias, ozdobiony ślimakowato skręconemi rogami. Samotnik ten podnosił od czasu do czasu łeb wgórę, spozierał bystro dużemi czarnemi oczyma, lecz czyto rozmarzony słońcem, czy też zgnębiony ciężarem rogów, powoli skłaniał głowę ku ziemi i tak w pozie drzemiącej pozostawał po kilka minut.

Powietrze było tak czyste i tak przejrzyste, że mimo dosyć znacznego oddalenia mogłem dokładnie obserwować nietylko ruchy, lecz i kształty pasącej się zwierzyny. Cisza panowała głęboka, najmniejsza trawka nie poruszała się, słońce prażyło jak ogniem.

Kniaź, leżący tuż koło mnie, podsunął się jeszcze bliżej i szeptem zapytał:

„Czy chcesz strzelać?“

Na strzał było za daleko, zresztą chciałem widzieć osławioną zręczność podkradania się Mongołów do zwierzyny, prosiłem więc Wana, aby kazał któremuś ze swych łuczników podchodzić stado. — Kniaź skinął na leżącego za nami Mongoła i szepnął jakiś rozkaz.

Po chwili zobaczyłem jednego z ludzi książęcych, jak ubrany tylko w krótkie spodnie, trzymając łuk w ręku a kilka strzał w zębach, począł ledwo dostrzegalnym ruchem przekradać się wśród kamieni, kierując się w dół kotliny.

Ciemne, prawie bronzowe, od słońca i wiatrów spalone ciało Mongoła zlewało się znakomicie z tłem. Myśliwy czołgał się, jak wąż, na brzuchu, pomagając sobie jużto łokciami, jużto kolanami. Chwilami podnosił głowę, badał odległość od zwierzyny, badał zachowanie się stada i przy najmniejszym podejrzanym ruchu zwierząt pozostawał na miejscu bez drgnienia, podobny zupełnie do jakiejś bryły skalnej. — Po kilkunastu minutach Mongoł znikł mi z oczu, schowany za dużym blokiem kamiennym. Obserwowałem przez

lunetę barana. Leżał w dalszym ciągu zupełnie spokojnie, czasem tylko leniwie skrobiąc się tylną łapą koło uszu, jakby opędzając się od natrętnych insektów, zbyt dokuczliwie dobierających się przez gęsty włos do ciała. Całe prawie stado zeszło na sam dół kotliny i rozłożyło się na miękkiej trawie.

Nagle samiec zerwał się, podskoczył wgórę, przebiegł parę kroków, zachwiał się i padł, bijąc w konwulsjach racicami ziemię.

W karku zwierzęcia, tuż u nasady głowy, sterczał koniec upierzonej strzały.

Pozostałe argali zerwały się natychmiast, chwilę patrzyły na martwego już samca, potem bezładną gromadą ruszyły ku szczytom, okalającym kotlinę. Przez chwilę myślałem, że stado ujdzie, gdy nagle na krawędziach kotliny pojawiły się, jak z ziemi wyrosłe, postacie Mongołów, wymachujących karabinami i łukami.

Zwierzęta zawróciły z miejsca i w największym pędzie poszły po pochyłości kotliny, kierując się w naszą stronę. Na przedzie gnały dwa duże samce z głowami zadartemi wgórę, w szalonych susach, brzuchami prawie dotykając ziemi.

Spojrzałem na Wana, stał w nyży skalnej, spokojnym wzrokiem wodząc po baranach i próbując ręką cięciwę łuku. W chwili, gdy pierwsze zwierzęta zbliżyły się prawie na sześćdziesiąt kroków, kniaź podniósł łuk wgórę, — przez chwilę widziałem na czole jego nabrzmiałe z wysiłku żyły i nagle posłyszałem żałosny świst grotu. Jeden baran wywrócił koziołka, trafiony śmiertelnie strzałą w serce, drugiego zaś o kilka metrów dalej zatrzymała pękająca kula mego karabinu.

Pozostałe zwierzęta, przestraszone nagłym hukiem strzału, zwinęły się prawie na miejscu, rzucając się w nieładzie na wszystkie strony. Kilka sztuk padło

jeszcze od strzał i kul, reszta jednak zdołała przedrzeć się przez otaczające je kolisko ludzi i rozsypała się po stoku gór.

Za młodym baranem, ranionym czy też zmęczonym gonitwą, puściło się kilku Mongołów w pogoń. Widok był zaiste wspaniały.

Na przodzie biegł baran, odbijając się sprężystemi nogami, za nim zaś pędziła gromada jeźdźców, spłaszczonych niemal na karkach końskich. Jeden z goniących, mający widocznie najlepszego konia, zbliżał się coraz bardziej i gdy koń zrównał się prawie z baranem, jeździec podniósł się nagle na siodle, zatoczył łuk w powietrzu i spadł na grzbiet ściganego zwierzęcia. Koń podbiegł jeszcze kilkanaście kroków i stanął, człowiek zaś i zwierzę zamienili się w jakąś bezładną szamocącą się masę.

Po chwili z drgającej masy podniósł się człowiek, pokrwawiony, w podartem na strzępy ubraniu — jednak u nóg jego leżał argali, rzucając się i prężąc skrępowane rzemieniem nogi.

Wesoło i hucznie wracaliśmy do jurt.

Zdobycz ułożono na sarłykach urtońskich i przywieziono do stawki kniazia, gdzie obdarte ze skóry argali poszły do kotłów.

Długo w noc przeciągała się biesiada, przy której omawiano różne momenty minionego polowania oraz mającego się nazajutrz odbyć strzelania z łuków do celu, a także i wyścigów konnych, które kazał przygotować kniaź, zadowolony ze świetnego wyniku polowania.

Wczesnym rankiem, drugiego dnia, zbudził mię niebywały gwar, tupot koni i okrzyki ludzkie.

Wybiegłem co prędzej przed jurtę, przeznaczoną mi na mieszkanie, a sąsiadującą z jurtą Wana, i na stepie, okalającym stawkę księcia, ujrzałem mnóstwo ludzi,

ubranych w barwne, fantastyczne szaty, gromady kobiet i dzieci oraz kilkudziesięciu lamów, ubranych w żółte i czerwone rytualne stroje.

Z głośnemi krzykami pędzono tabuny koni, koło których gonili pastuchy na zwinnych jak gazele konikach, wywijając urgami i arkanami. Na prawo od stawki wbijano w ziemię słupy, na których umocowywano zrobione z gliny głowy, przedstawiające Chińczyków.

Grupy ludzi kręciły się, pokrzykiwały radośnie, rozpalały ogniska kiziaku [1]), próbowały strzelb i łuków.

Mężczyźni ubrani byli w odświętne szaty, jedwabne długie terłyki, przy pasach których zwisały na srebrnych łańcuszkach lub jedwabnych sznurach nieodstępne worki z tytoniem, przybory do czyszczenia fajek i piękne krzesiwa, za pasami ztyłu tkwiły noże, jużto w zwyczajnych pochwach, jużto zdobione pięknemi wzorami, wykonanemi w srebrze, a przedstawiającemi smoki lub dziwaczne ornamenty mongolskie i chińskie.

Na głowach miała płeć brzydka wysokie czapki mongolskie, obramowane futerkiem, a ozdobione na wierzchu zwykłemi guzami jedwabnemi lub różnokolorowemi gałkami, oznaczającemi urząd lub stopień właściciela. Z pod czapek zwisały długie, czarne, silnie splecione warkocze.

Płeć nadobna reprezentowaną była w wielkiej ilości, różniąc się od mężczyzn nie tyle wyglądem twarzy, co strojami i — świecidełkami.

Kobiety ubrane były również w jedwabne długie szaty, przyczem jednak ubiory mężatek różniły się znacznie od ubiorów dziewic. — Tak więc damy mongolskie miały na sobie długie, bo do kostek sięgające

---

[1]) Suszony nawóz.

suknie, sporządzone z przepięknych niekiedy jedwabi chińskich o deseniach wprost artystycznie wykonanych, a przedstawiających kwiaty, ornamenty mongolskie lub smoki. Suknie te, rozcięte od szyi prawie do kolan, spięte były na rozcięciu srebrnemi lub złoconemi guziczkami. Dół sukni, rękawy i kołnierz bramowane były drogocenną tkaniną, przetykaną złotemi lub srebrnemi nitkami, tworzącemi nader misterne ornamenty. Na długich rękawach, u nasady ramion sterczały dwa garby, niezbędne w stroju kobiety - mężatki w księstwie chałchińskiem.

Fryzury dam przedstawiały się imponująco, gdyż włosy tworzyły rodzaj wachlarzy po obu stronach głowy. Wachlarze te spięte były z każdej strony trzema, szerokiemi na dwa palce, srebrnemi klamrami, sadzonemi koralami i turkusami. Na głowie miały niewiasty srebrne czepki, niezwykle misternej roboty, sadzone na spodniej obręczy również turkusami, czasem zaś ametystami i chryzolitami. Na czepcach tych widać było wysoką czapeczkę mongolską, pięknie wyszywaną, mniejszą nieco i wyższą od męskich. Odwinięte brzegi czapki bramowane były przeważnie sobolem futerkiem. W uszach nosiły damy zausznice, bądźto ze srebra, bądź z kawałków pięknie polerowanego nefrytu. Zakończeniem stroju były mongolskie buty o grubej bardzo podeszwie, bez obcasów, z nosami zawiniętemi wgórę. Buty takie robione były z różnokolorowej skóry, zszywanej w oryginalne a piękne desenie.

Stroje dziewcząt były skromniejsze i zupełnie podobne do męskich — włosy splecione w warkocze, w które dla przedłużenia były wprawione dosyć grube czarne sznurki jedwabne, zakończone kitami.

Dzieciarni było pełno. Pchało się to natrętnie we wszystkie kąty, świeciło nagiemi lub ledwo okrytemi ciałami, wspinało się na konie, krzyczało i płakało.

Wśród tego różnorodnego tłumu przechadzali się poważnie lamowie, oznaczając duchowny swój stan golonemi głowami i żółtemi terłykami bez kołnierzy; trzymali oni w rękach buddyjskie różańce, a częstowali się przy powitaniu tabaką z pięknych nefrytowych tabakierek (duchowieństwo mongolskie nie pali tytoniu).

Konie przyjezdnych, przeważnie piękne i dobrze wypasione, okryte były ładnemi czaprakami jużto ze skóry tłoczonej i wyszywanej, jużto z różnokolorowego, grubego materjału. Siodła mongolskie miały bardzo wysokie łęki, malowane zazwyczaj na czerwono i nabijane srebrnemi guzami. Od siodeł zwieszały się szerokie masywne strzemiona, wyrabiane z żelaza lub mosiądzu, a inkrustowane srebrem, czasem zaś złotem. Rzemienie uzd zdobione były srebrnemi monetami lub grubemi srebrnemi sztabkami na których widniały głęboko ryte ornamenty.

Całość rzędów końskich przedstawiała się bardzo estetycznie i bogato, bo też Mongołowie najbardziej dbają o piękny rynsztunek koński.

Z obserwacyj moich wyrwał mię nagle donośny głos piszczałek i bębnów, wróciłem więc pośpiesznie do jurty, gdyż zbliżał się czas widowiska. Jakoż po chwili szedłem w towarzystwie Wana ku rozesłanym na ziemi kobiercom, na których siedziała już małżonka kniazia w otoczeniu swego dworu. Kniaziowi towarzyszyli wszyscy urzędnicy w paradnych strojach, zajmując miejsca wedle godności i rangi.

Widowisko zaczęło się strzelaniem ze starej broni palnej, używanej przez większość myśliwych mongolskich.

Kilku zawodników stanęło w oddaleniu 60 kroków od celu, oparło swe strzelby na wysokich widełkach, mierząc do głów z gliny, zatkniętych na słupach. Rozległo się sześć strzałów i sześć kul utkwiło w glinianych manekinach. Najlepiej ze wszystkich strzelców

spisał się stary jednoręki Mongoł, gdyż kula jego trafiła w sam środek czoła glinianego celu. Książę rozdał nagrody, ja zaś zająłem się oglądaniem strzelb. Były to stare krzemieniówki, o dziwnie małych łożach, powiązane sznurkami i rzemieniami. W trzeciej części wysokości strzelby na zgrubionem łożysku, obejmującem lufę, przymocowane były widełki, służące do podtrzymywania i unieruchomienia broni, co jest prawie konieczne, jeśli się weźmie pod uwagę niezwykłą wprost wagę lufy, bardzo grubej na końcu. Końcowe to zgrubienie ma zabezpieczać lufę od rozdęcia się. Zamek jest roboty bardzo skomplikowanej. Panewka ma ruchomą pokrywę, otwierającą się podczas spuszczania kurka, w którym tkwi krzemień, dający przez potarcie iskrę, zapalającą proch.

Strzelby te pozostawiają bardzo wiele do życzenia, Mongołowie jednak strzelają z nich naogół bardzo celnie, nie wahając się nawet z taką bronią wstąpić w szranki z niedźwiedziem [1]).

Na słupach postawiono nowe manekiny, a na linji, oznaczającej odległość 50 kroków, stanęli łucznicy, ubrani tylko w spodnie. Każdy z zapaśników trzymał w ręku łuk długości 120 cm o silnej, z kiszki baraniej skręconej cięciwie. Łuki sporządzone były z cienkich bambusowych deseczek, sklejanych, a następnie silnie owiniętych bardzo cienkiemi jedwabnemi sznurkami. Strzały, których pięć posiadał każdy zapaśnik, z żelaznym, trójgraniastym grotem, były długie około 70—80 cm; końce strzał miały pierzastą trójgraniastą brzechwę.

Na dany znak zapaśnicy podnieśli łuki, trzymając je pionowo i poczęli słać strzałę za strzałą. Przez

---

[1]) W Amurskim kraju znałem myśliwego, który tylko ze skałkówką polował na tygrysy, w wielkiej ilości zamieszkujące ten kraj.

chwilę słychać było tylko brzęk cięciw i świsty strzał. Zdaleka patrząc miało się wrażenie, że strzelanie odbywa się bez zbytniego wysiłku ze strony zapaśników. Przy bliższej jednak obserwacji strzelających, widziało się wielki wysiłek muskułów rąk, piersi i pleców. Lewa ręka wyprostowana trzymała łuk, dwa palce prawej ręki naciągały cięciwę, aż do brodawki piersi.

Rezultaty strzelania były różne, gdyż chodziło o to, aby w jak najkrótszym czasie wypuścić celnie pięć strzał. Z dwudziestu pięciu zapaśników najlepszy rezultat osiągnął młody, herkulesowej wprost budowy ciała, mejren [1]) Dorczi, wsadziwszy w ciągu niespełna pół minuty, wszystkie pięć strzał w oboje oczu, czoło, nos i usta manekina, za co w nagrodę otrzymał od kniazia pięknego konia.

Nastąpiły potem zapasy atletyczne, nieudałe jednak z powodu zbyt małej wartości zapaśników, których bił w krótkim czasie wspomniany wyżej Dorczi.

Do wyścigów konnych stanęło około stu zawodników, lecz w zawodach brali udział tylko chłopcy, siedzący oklep na koniach. Bieg wynosił dziesięć kilometrów — zwyciężyły konie z tabunu książęcego.

Późno w nocy rozjeżdżali się goście, przybyli na tę uroczystość — a w parę dni potem i ja pojechałem z Aczitu-Wanem nad Kirgiz-nor zobaczyć łowy na dzikie konie.

---

[1]) Mejren = pułkownik.

WILKI

Zima ostra i niezwykle nawalna nawiedziła bezbrzeżne przestrzenie Syberji. Śniegi głęboko zasypały stepy i bory, pokryły puszystym całunem miasta i wsie, potworzyły głębokie zaspy, zrównały jary i wąwozy.

Wieśniacy, przyjeżdżający do miast z dalekich nieraz miejscowości na zakupno towarów, czy też w celu sprzedaży produktów rolnych, przywozili wiadomości o licznych stadach wilków, wdzierających się do wsi i futorów, czyhających na stada koni i bydła, lub na pojedyńczych woźniców.

Każdy podróżny, wybierający się w daleką drogę końmi, zaopatrywał się w broń i naboje, chłopi zbierali się w karawany po kilkanaście sań, aby tem skuteczniej odeprzeć ewentualny napad wilków, we wsiach palono w nocy ogniska, naprawiano „zagony“ [1]) na bydło, zwiększano warty, a wilki panoszyły się coraz bardziej, przebiegając kraj stadami, liczącemi czasem po kilkaset sztuk wygłodniałych zwierząt.

W początkach stycznia zmuszony byłem odbyć dłuższą, bo kilkaset kilometrów liczącą podróż do Tobolska w towarzystwie bogatego kupca z Tiumienia.

Wygodna, ciepłemi futrami wysłana kibitka, zaprzężona w dzielną trójkę, rwała przez zaśnieżone prze-

---

[1]) Obora.

strzenie lotem ptaka. Na „przegonach“ [1]) zmieniano konie, nowy woźnica siadał na koźle, wstrząsał lejcami i szybkie „bieguny“ syberyjskie niosły kibitkę w dal śnieżną i mroźną.

Znaczniejszą część drogi odbyliśmy bez przypadku, podróżując tylko w dzień, noce zaś spędzając we wsiach, ale gdy jasne oblicze księżyca w pełni oświeciło śniegi tak dobrze, że widać było wyjeżdżone płozami sań ślady, — ruszyliśmy nocą, powierzając się dzielności koni i broni, która wraz ze znaczniejszemi zapasami naboi leżała w saniach.

Woźnica, młody, dorodny Sybirak, znający dobrze drogę, opatrzył uważnie sanie i uprząż, wdział następnie duży, do kostek prawie sięgający kożuch, wgramolił się na kozioł, cmoknął na konie i te pomknęły z miejsca galopem, dzwoniąc głośno dzwoneczkami, uwiązanemi przy „dudze“ [2]).

Szybko minęliśmy długą ulicę wiejską z szeregiem zgrabnych domków, w których świeciły wycięte w drewnianych okiennicach małe otwory w kształcie kół lub serc, i wypadliśmy na równy step.

Księżyc oświecał zaśnieżone pola tak jasno, że przez okna kibitki widziało się dokładnie rzadkie gaje brzozowe, czasem ciemne kontury opuszczonej chatki letniej lub sterczące z pod śniegu żerdzie „zagonów“.

Płozy sań sunęły lekko, skrzypiąc po zmarzniętym silnie śniegu, czasem o budę kibitki uderzały z głuchym trzaskiem, oderwane od kopyt koni, zbite grudki, czasem rozlegał się gromki okrzyk woźnicy lub nagłe chrapanie koni, przebiegających przez świeży ślad wilków, — a jękliwy, srebrzysty głos dzwonków niósł się w dal mroczną.

---

[1]) Postoje.
[2]) Kabłąk (duga).

Towarzysz mój, ukołysany monotonnym ruchem sań, zasnął, rozłożywszy się wygodnie na futrach, mnie również sen morzył powieki.

Ze słodkiej drzemki wyrwał mię głośny krzyk woźnicy:

— Panowie — wilki idą ławą!

Chwyciliśmy za broń. Wyjrzałem przez odchylone okno i zobaczyłem wdali czarną jakąś poruszającą się masę, która szybko zbliżała się ku nam. Z gromady tej wyrywały się pojedyńcze wilki, przecinając naukos koniom drogę. Zdziwiło mię to, że wilki, zamiast otaczać nas, rozdzieliły się na dwie grupy, z których jedna wolno otaczała sanie od tyłu, druga natomiast zbliżała się ku koniom w ten sposób, że zmusiła nas do opuszczenia drogi i zwrotu na prawo, to jest w kierunku nie zajętym przez wilki. Manewr ten zaniepokoił mnie poważnie, gdyż w tej chwili przypomniałem sobie opowiadania o dużym zmyśle organizacyjnym i chytrości tych zwierząt, które, nie mogąc np. pokonać jelenia, wpędzają go w zaspy śnieżne. Czyżby i z nami tak być miało?

Wilki zbliżały się coraz bardziej, widziałem już dokładnie iskrzące się ślepia i białe błyskajace kły w rozwartych paszczach. Strzelać było niepodobieństwem, gdyż zapach krwi rozzuchwaliłby tych nocnych rozbójników, a wtedy nie byłoby dla nas ratunku.

Woźnica krzykiem i batem zachęcał konie do biegu, a dzielne syberyjskie mierzyny, chrapiąc rozgłośnie, rwały ledwo nogami dotykając śniegu.

Nagle kilka wilków wykonało gwałtowny skok, rzucając się do karków koniom, które skręciły prawie na miejscu, kibitka pochyliła się gwałtownie na bok i zaryła się głęboko w śniegu. Z gardzieli napastników rozległo się teraz przeraźliwe wycie, w którem brzmiał ton radości i zwycięstwa, lecz wycie to zagłuszył tubalny głos mego towarzysza:

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. 2170/

— Trofim! Odetnij konie, a sam do kibitki!

Chłop zsunął się jak żmija z kozła i kilku uderzeniami toporka (z którym nie rozstaje się nigdy Sybirak w podróży) odciął rzemienie zaprzęgu i dyszelki. — Konie szarpnęły się gwałtownie, w kilku skokach przebyły zaspę i pomknęły w pole. Kilkadziesiąt wilków puściło się za niemi, reszta rzuciła się na uwięzioną w śniegu kibitkę. Dwa duże wilki skoczyły na Trofima, lecz ten jednego z nich ciął toporkiem, drugiego zaś celnym strzałem położył mój towarzysz na miejscu. Woźnica wpadł w otwarte drzwi kibitki i ledwo zdołał je zamknąć już zgraja wilków rzuciła się na naszą twierdzę. Zagrzmiały strzały i wilki waliły się, jak snopy. Zapach świeżej, dymiącej się krwi pobudzał je do wściekłości. Zgłodniałe widocznie, szarpały zabitych towarzyszy, gryzły się z głośnem wyciem między sobą, to znów pojedyńczo lub gromadami rzucały się na nas. Kibitka, przeznaczona do dalekich podróży, zbudowana była nakształt starodawnej landary. Ściany i dach zmontowane były z cienkich, lecz silnych desek brzozowych, obciągniętych skórą i wewnątrz wybitych wojłokami.

Wnętrze było tak obszerne, że wygodnie mieściło czterech ludzi, — było też miejsce na bagaże i mały samowar, w którym gotowaliśmy tak ulubioną przez Sybiraków herbatę. W bocznych ścianach miała kibitka drzwi z zasuwanemi oknami, spód wysłany był sianem, wojłokami i futrami.

Strzelaliśmy prawie bez przerwy, bijąc już to w zwarte szeregi, już to w pojedyńcze sztuki, zbyt śmiało podsuwające się pod okna. Czasem w przerwach strzelania słychać było, jak zwierzęta szarpały okrycie kibitki i gryzły deski, które pod naporem ich ciał trzeszczały i gięły się. W kilku miejscach pokazały się w ścianach dziury, ale zagrożonych punktów pilnował

troskliwie Trofim, kłując nożem ukazujące się w nich pyski.

Huk wystrzałów, wycie i skomlenie ranionych zwierząt zmieszało się w jakiś piekielny hałas, mimo tego rozróżniliśmy wyraźnie rozlegające się wdali przeraźliwe wycie — widocznie wracały wilki z pościgu za końmi lub też nadbiegało nowe stado, zwabione zgiełkiem.

Wkoło zaimprowizowanej przez nas twierdzy utworzył się wał trupów, a nowe szeregi napastników darły się z dziwną zajadłością, waliły się siekane śrutem, odstępowały i znów wracały.

Lufy strzelb parzyły ręce do tego stopnia, że musieliśmy obejmować je przez wojłok.

W pewnym momencie, zwaliwszy dwa wilki, wdzierające się zbyt blisko do okna, wyciągnąłem rękę po nowe naboje, które podawał nam woźnica, lecz Trofim oznajmił, że pudło już puste — wystrzelaliśmy przeszło dwieście ładunków — a przed nami pozostały jeszcze dwie godziny do świtu i zgraja zgłodniałych, zażartych zwierząt. Postanowiliśmy bronić się kolbami strzelb, lecz pomysłowy Trofim wynalazł broń lepszą i bardziej skuteczną. W kibitce była baryłka spirytusu, to też w płynie tym maczaliśmy zwinięte w kłąbki siano, kładliśmy w nie jarzącą się hubkę i te nowe, nieznane dotychczas granaty ręczne rzucaliśmy daleko od sań. Wkrótce na śniegu utworzył się pas jasnoniebieskich ogników, które wstrzymały napad wroga.

A jednak pomimo dotychczasowego zwycięstwa — byliśmy w sytuacji ogromnie ciężkiej. Księżyc zaszedł, zrobiło się ciemno, spirytusu mieliśmy zaledwie kilka litrów i mimowoli nasuwało się pytanie, co zrobimy, gdy wyczerpie się ten zbawczy płyn — a wilki zechcą atakować znowu?

Widocznie jednak czuwała nad nami Opatrzność, gdyż w chwili największego zwątpienia, w chwili rzu-

cania ostatnich pocisków, rozległy się daleko przed nami odgłosy strzałów, a potem krzyki, zmieszane z jękliwemi tonami dzwonków. Wkrótce zobaczyliśmy w pomroce rój światełek, które rosły szybko, przybliżały się — aż wreszcie stanęły gdzieś całkiem blisko.

Ale teraz byliśmy pewni ocalenia, bo w świetle płonących pochodni, zrobionych ze zwiniętej kory brzozowej, zobaczyliśmy szeregi sań, na nich zaś brodatych Sybiraków, którzy od czasu do czasu dawali salwy ze swych strzelb. Wilki pierzchnęły, pozostawiając na polu mnóstwo trupów i rannych.

Sybiracy rozpalili szybko parę dużych ognisk, odciągnęli od drzwiczek kibitki zesztywniałe już ciała zabitych wilków i oswobodziwszy nas — jęli rozpytywać o to, co zaszło i opowiadać o napadzie wilków na wieś, oddaloną zaledwie o kilka kilometrów.

Konie nasze zostały rozdarte przez wilki już we wsi, i to, oraz kanonada nasza, dały im znać o naszem krytycznem położeniu.

Gdy świt rozproszył ciemności nocy i na zaróżowione niebo wychyliła się jasna tarcza słońca, zobaczyliśmy w całej grozie nocne pobojowisko. W promieniu kilkudziesięciu metrów od kibitki śnieg znaczył się czerwonemi plamami krwi i buremi cielskami zabitych zwierząt. Tu i owdzie ciężko raniony wilk szczerzył zakrwawioną paszczę do młodych parobczaków, którzy zajęli się dobijaniem tych nocnych rozbójników i ściąganiem skór.

Oglądając uważnie ślady naszych sań, zrozumiałem, dlaczego wilki, goniąc nas, spychały konie z drogi. — Oto w tem miejscu, gdzie sanie zaryły się w śniegu, była ogromna zaspa, utworzona na młodym, gęsto zarośniętym zagajniku brzozowym, dalej zaś szła droga równa i twarda; — wilki umyślnie więc następowały

z lewej strony, a w chwili gdy konie doszły do zaspy, zabiegły im drogę zprzodu.

Ze wsi sprowadzono nowe konie i wkrótce ruszyliśmy całą kawalkadą. Na saniach wieśniaków leżały całe stosy skór, które, prócz sowitego poczęstunku, stanowiły rodzaj wynagrodzenia za ratunek.

Kibitką naszą, przedstawiającą opłakany widok zrujnowanej przez wroga twierdzy, zajęli się wiejscy rzemieślnicy i dopiero w dwa dni później ruszyliśmy dalej.

MARALE [1])

Majestatyczne cedry i sosny, otulone białym całunem śniegu, szeptały poranną modlitwę, poważnym i cichym szelestem konarów, trącanych lekkim wietrzykiem. Słońce podnosiło się wolno na wschodzie, różowiąc lazurowe czyste niebo, rozlało swe jasne promienie po ciemnym borze, zaiskrzyło tysiącami brylantów na miękkiej, puszystej śnieżnej powłoce, pokrywającej grubą warstwą bezbrzeżne stepy i bory syberyjskie.

Ciekawe słonko wciskało się w głębie leśne, wypierając czarną, tajemniczą zasłonę nocy, przeglądnęło się w potężnych soplach zamarzniętych wodospadów, zagrało na nich tęczą barw i obudziło ptactwo, które z głośnym świergotem ruszyło na żer, strącając puszyste kiście śnieżne z gałęzi drzew, w poszukiwaniu ziaren i szyszek. Nad borem, hen wysoko w lazurowych przestworzach, zataczały ogromne koła orły wypatrując zdobyczy, czasem zaś chyłkiem, szybkim jaka kula lotem, przecinał powietrze jastrząb ciemnopióry morderca cietrzewi, który, nasyciwszy pierwszy głód, wybijał całe stada liroogonowych ptaków, zjadając tylko mózg, resztę zaś zostawiając dla lisów i kruków.

---

[1]) Cervus Maral Taczanowski, szlachetny jeleń, opisany przez sławnego uczonego polskiego prof. Uniwersytetu lwowskiego Dr. Benedykta Dybowskiego.

Z łagodnego, bezleśnego prawie stoku Czerwonego Taskyłu, będącego jakby podnóżem Sajanów, zjeżdżaliśmy na nartach, oświetleni rażącemi promieniami słońca, odbitemi od białego kobierca śniegu.

Przewodnik nasz Miszka, stary doświadczony myśliwy, zwycięzca kilkudziesięciu niedźwiedzi, sunął lekko, mijając zręcznie zwalone burzami i starością pniaki, za nim zaś dwóch młodych kozaków ciągnęło lekkie płozy, okryte skórą kabargi, na której leżało kilka kociołków, trochę suszonego mięsa jeleniego, oraz przybory do robienia dużych sań, niezbędnych w razie pomyślnego polowania do transportu zwierzyny.

Ja zamykałem pochód, mknąc na chybkich sojockich nartach, podarowanych mi przez myśliwych urjanchajskich [1]).

Trzej moi towarzysze uzbrojeni byli w arkany, wycięte ze skór maralich, i pistonowe małokalibrowe gwintówki, używane do polowania na sobole i wiewiórki, ja zaś miałem doskonały Winchester [2]) broń niezawodną i celną, broń, której zawdzięczałem życie przyjaciela mego w walce z rozjuszonym niedźwiedziem.

Zsunąwszy się z góry w obszerną kotlinę rzeki Oji, ściętej teraz grubą skorupą lodu, zdjęliśmy narty, zatrzymując się na spoczynek oraz śniadanie. Miszka podszedł do suchego cedru i toporkiem (bez którego nie pójdzie żaden syberyjski myśliwy w tajgę) jął obcinać gałązki, gdy tymczasem kozacy przyciągnęli dwa grube pniaki, złożyli je szczelnie razem i wyrąbali następnie między pniakami rodzaj dołka, w którym ułożono gałęzie, nad niemi zaś przywiązano na trójnogu z żerdzi, kocioł nabity śniegiem. Miszka skrzesał ognia,

---

[1]) Urjanchaj = kraj odgraniczony od Syberji górami Sajańskiemi.

[2]) Karabinek amerykańskiego wyrobu.

dmuchnął parę razy w hubkę i smolne gałęzie buchnęły odrazu jasnym, wesołym ogniem. Suche gałęzie cedrowe nie dają wcale dymu, nie było więc obawy spłoszenia zwierzyny, jeżeli gdzieś niedaleko się znajdowała.

Woda w kotle zagotowała się rychło, więc Miszka zasypał ją suszonemi liśćmi malin, następnie wyciągnął ze sanek wiązankę długich pasm suszonego mięsa, wymownym ruchem ręki zapraszając nas do biesiady.

Po posiłku Miszka dawał instrukcje i omawiał plan polowania. Patrzyłem na starego myśliwego, starając się dokładnie zapamiętać wszystkie fortele, używane przy chwytaniu żywych marali, na które wybraliśmy się wtedy.

Miszka był moim przyjacielem, a zarazem mentorem w sprawach łowieckich. Ileż to razy przebiegałem z nim tajgę, poznając jej tajemnice, ucząc się zwyczajów i życia dzikich jej mieszkańców, podziwiając niechybne oko i zimną krew starego łowcy, który już od lat czterdziestu mieszkał w puszczy i żył jej bogactwami.

Latem chodził Miszka na niedźwiedzia, robił zasieki na kabargę lub naprawiał i przygotowywał na zimę swe chatki myśliwskie, rozrzucone po najbardziej ustronnych miejscach tajgi; zimą polował na wiewiórki, sobole i wydry dla ich cennych futer, na marale i sarny dla skór i mięsa. Wyszukiwał także barłogi niedźwiedzie, śledził rosomaki, polował na rysie, wilki i lisy.

Daleko słynęło imię tego niechybnego strzelca, i za chwałę poczytywano sobie, gdy Miszka zaprosił do pomocy lub towarzystwa.

Ruszyliśmy znowu, kierując się ku rozległym polanom leśnym, pozostawiwszy sanie z narzędziami i zapasami w głębokiej szczelinie skalnej.

Na śniegu widać było tysiące śladów przeróżnej zwierzyny i ścieżki, wydeptane przez stada jeleni i marali.

Maral *(Cervus Maral)*

Z pomiędzy konarów drzew wyrywały się jarząbki, wydając oryginalny ostrzegawczy świst, czasem czarne lśniące cietrzewie, zaciekawione naszym widokiem, przerywały skubanie mchu brzozowego i z rozgłośnym łopotem skrzydeł wzbijały się w powietrze, przenosząc się na miejsca bardziej bezpieczne.

Niekiedy cicho przekradał się rudy lis, zerkał na prawo i lewo, węszył, podnosił wgórę łeb, przyglądając się ptactwu, skaczącemu radośnie po gałęziach, zamiatał puszystą kitą śnieg i niknął gdzieś w podszyciu leśnem. Czasem gronostaj biały podkradał się do stada kuropatw, chowając przezornie pod siebie czarny koniec swego ogonka. Niekiedy gdzieś na skalnem urwisku zamajaczył gibki kształt rysia lub przesunęło się sprężyste, ciemne ciało kabargi.

Mijaliśmy ogromne złomy skalne, tworzące jakby wrota przed obszerną polaną, gdy nagle Miszka stanął jak wryty, podniesieniem palca dając znak milczenia. Skryci między skałami, obserwowaliśmy pasące się spokojnie stado marali, złożone z kilku dziesiątek głów. Samice leniwie rozgrzebywały nogami śnieg, skubiąc pożółkłą trawę, inne leżały na śniegu, tworząc duże rdzawe plamy. Nieco dalej stał duży samiec i rozglądał się bacznie wokoło.

Głowę samca, osadzoną na pięknie wygiętej szyi, zdobiły rozłożyste rogi. W prawo od samca-stróża, baraszkowało kilka młodych samczyków, kłując się zawzięcie małemi różkami.

Przewodnik nasz szeptem wydawał rozkazy, a po chwili znikł wraz z kozakami, wracając drogą niedawno przez nas przebytą.

Stado, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, wygrzewało się spokojnie na słońcu.

Minęła godzina. —

Marale, zaspokoiwszy głód, powstały powoli, zbiły

się w gromadę, jakby naradzając się, gdzie spędzić poobiednią siestę.

Znając dobrze zwyczaje marali, wiedziałem że pójdą ścieżką wydeptaną w miękkim śniegu i skierują się ku szczytom, skąd wiatr zdmuchuje śnieg i twardy grunt nie przeszkadza zwierzętom w ucieczce w razie niebezpieczeństwa.

Tak się też stało.

Przez chwilę byłem pewny, że towarzysze moi nie zdążyli zająć stanowisk i marale ujdą, lecz nagle stado zawróciło w miejscu i w popłochu rzuciło się w prawo ku zbitej ścianie stuletnich drzew. Na pochyłości ukazał się Miszka, wykrzykując głośno i kręcąc w rękach arkanem. Marale biegły w popłochu, lecz wychylająca się z lasu sylwetka kozaka zawróciła je w lewo. Stado umykało, ile na to pozwolił głęboki śnieg, nie przebiegło jednak i połowy drogi, gdy z lasu wychylił się drugi kozak, gromkim krzykiem zmuszając zwierzęta do nowej zmiany kierunku i szukania ratunku w ucieczce przez kamienne wrota, w których ja stałem, lub przebycia stromego wąwozu rzeki, zasypanego głębokim śniegiem.

Samiec-kierownik stada, widząc ze wszech stron niebezpieczeństwo, rzucił się w potężnych susach ku rzece i całym impetem zarył się głęboko w zaspę śnieżną. Myśliwi natychmiast podsunęli się ku niemu, świsnęły w powietrzu arkany i pętle zacisnęły się na rozłożystych rogach. Reszta stada rozpierzchła się na wszystkie strony.

Schwytany maral dobywał wszystkich sił, aby uwolnić nogi ze śniegu, lecz próżne to były wysiłki, wąskie racice nie dawały odpowiedniej podstawy i zwierzę zapadało się coraz głębiej.

Zmęczony, zlany potem, rozumiejąc widocznie swoją bezsilność, zwiesił wreszcie głowę, spokojnie poddając

się losowi. Na tę chwilę czekaliśmy. Natychmiast narzuciliśmy na spotniały grzbiet zwierzęcia swoje kurtki, biorąc się równocześnie do krępowania nóg. Nartami odgrzebywaliśmy śnieg, starając się obezwładnić najpierw tylne nogi, będące najstraszliwszą bronią marala. Tylnemi nogami posługuje się często maral tak w obronie, jak walce, a siła uderzenia jest tak wielka, że z łatwością rozbija czaszkę wilka lub łamie kości niedźwiedzia.

Po kilkunastu minutach pracy, udało się nam bez wypadku skrępować nakrzyż nogi zwierzęcia, odgrzebać śnieg i wyciągnąć marala z zaspy. Toporkami nacięliśmy gałązek cedrowych, na nich nasłaliśmy mchu i na tem posłaniu złożyliśmy naszego więźnia, wycierając mchem grzbiet jego do sucha. Zabieg ten jest konieczny, gdyż zmęczony zwierz łatwo dostaje zapalenia płuc i ginie w czasie transportu.

Jeden z kozaków ruszył tymczasem po pozostawione narzędzia i w niespełna dwie godziny potem wieźliśmy już marala w stronę rzeki Tuby...

Tutaj czekali na nas Sojoci kolonisty Szyszmarjewa z zaprzęgiem reniferów, hodowanych w tej okolicy przez szczep sojocki, nazwany Hajdutami.

Dziwnem wydałoby się niejednemu myśliwemu zadawanie sobie trudu z łapaniem marali żywcem, gdy z łatwością można je ubić kulą.

A jednak myśliwi w okolicach gór Sajańskich, gór Tannu Oła i Ałtaju, wiedząc, jakie korzyści przynoszą marale, nie wybijają bezmyślnie tych pożytecznych i pięknych zwierząt, lecz łapią w wyżej opisany sposób i hodują w zagrodach, noszących nazwę „maralniki".

Już od bardzo dawnych czasów Chińczycy skupywali rogi marale, niekiedy za cenę wprost bajeczną, gdyż przyrządzają z rogów tych lekarstwa.

Aby rogi marale mogły być dobrze sprzedane,

trzeba je dostać na wiosnę, gdy są jeszcze pokryte skórą i zawierają w sobie dużo soków. Róg twardy nie da się odpowiednio spreparować i sprzedawany bywa jedynie na różne wyroby, jak: guziki, okładki do noży etc.

Specjalni hodowcy marali mają w zagrodach swych po kilkadziesiąt i kilkaset sztuk tych zwierząt, karmiąc je i doglądając z największą pieczołowitością.

Na wiosnę, gdy samce dostają nowe rogi, maralnicy chwytają w zagrodzie każdą sztukę i na dwa palce od czaszki podcinają piłeczką rogi. W dwa dni po tej operacji zabliźnia się rana i rogi, schnąc na nacięciu odpadają. Maralnicy, zebrawszy te rogi, rzucają je do kotła z gorącym, silnym roztworem solnym, po dwu dniach suszą je w miejscu przewiewnem. Tego rodzaju rogi mają w handlu nazwę „panty“ i płacone są przez Chińczyków na wagę srebra.

Pożytek z hodowli marali jest oczywisty. Hodowany w zagrodzie samiec daje prawie przez ośm lat po dziesięć do ośmnastu kilogramów pantów. W osobnych zagrodach trzymają hodowcy samice marali.

W Urjanchaju hodowla marali była rozwiniętą na wielką skalę, dając zatrudnienie sporej ilości ludzi, powodując zarazem ciągły kontakt handlowy z Chinami. W czasie bolszewizmu żołnierze sowieccy zniszczyli jednak tę gałąź przemysłu, wystrzelawszy prawie wszystkie marale, i wyrządzili tem samem nietylko wielkie straty materjalne, lecz także ogromny ubytek w zwierzostanie.

MÓJ PIERWSZY SŁOŃ

Ze snu twardego wybił mię krzyk kolonisty z Bodikaha pana de Chanaud:

„Monsieur, les élèphantes"!

Ubrałem się szybko, a tymczasem pan de Chanaud opowiadał mi, że przed chwilą przyszli do niego murzyni ze skargą na słonie, które w nocy stratowały plantację manjoku we wsi, odległej o dwa kilometry od Bodikaha. Słonie poszły następnie w brussę[1]), znacząc swą drogę łamaniem drzew i gałęzi, wreszcie murzyni oznajmili, że czekają już tropiciele i przewodnicy, więc należy prędko brać broń i iść za śladem, a skutek pewny.

Namyślałem się chwilę, bo wiem dobrze z opowiadania doświadczonych myśliwych, że słonie robią dzienne spacery po sześćdziesiąt do stu kilometrów, a chodzenie po wysokiej trawie przy temperaturze +45° C wcale mi się nie uśmiechało, — lecz wreszcie zwyciężyła chęć użycia wrażeń.

Przygotowałem karabin oraz mały automatyczny aparat kinowy i już po chwili, pożegnany przez państwo de Chanaud, z głową pełną rad i wskazówek, w które miejsce najlepiej ugodzić słonia, ruszyłem w towarzystwie najlepszego w tej okolicy tropiciela, fety-

---

[1]) Dżungla.

szysty Beile ze szczepu Bambara, oraz dwóch jego czarnych ziomków, z których jeden dźwigał aparat kinowy i karabin, drugi zapasy i wodę oraz nieodstępny łuk i kołczan strzał.

Ranek chłodnawy był jeszcze, ale słońce wypijało już z kwiatów i traw obfitą nocną rosę.

Szliśmy do potoku, ścieżyną, wydeptaną przez murzyńskie niewiasty. Kilka z nich wracało właśnie, niosąc na głowach pełne wody naczynia, zrobione z dużych tykw.

Przy potoku czekał na nas stary zgarbiony murzyn, właściciel zniszczonej przez słonie plantacji manjoku, który miał nam pokazać ślady nocnych gości.

Powitał mię skrzywieniem szerokich warg, co miało oznaczać uśmiech, i podniesieniem chudej jak piszczel ręki. Z pod podartego burnusa widniały ostre zarysy kości, powleczonych czarną, a właściwie popielatą od pyłu skórą, robiącą wrażenie worka, w który wtłoczono szkielet ludzki.

Murzyn opowiadał coś młodemu Beile, przyczem raz wraz otwierał swą szeroką, bezzębną paszczę, machał rękami, przewracał białkami oczu, pokazując przytem raz na mnie, to znowu na ziemię w miejsce, gdzie widać było zupełnie świeży ślad bawołów.

Beile wyjaśnił mi, że pół godziny temu przeszło tędy stado bawołów czerwonych i stary murzyn proponował przed słoniami zapolować na bawoły, tem bardziej, że muszą być gdzieś niedaleko...

„Bauna to, bauna to[1])“ — powtarzał wkółko stary murzyn, gładząc się przy tem po wpadniętym brzuchu.

Nie zgodziłem się oczywiście, gdyż słoń więcej wart od całego stada bawołów, zresztą, jeśli do południa nie znaleźlibyśmy słoni kąpiących się gdzieś w rzeczce, to całe polowanie przepadnie.

---

[1]) Bawół dobry.

„Idziemy do śladu“ — mówię gniewnym tonem — a w duszy śmieję się ze strapionej miny murzyna, który, zgarbiwszy się, ruszył naprzód, poprawiając od czasu do czasu łuk, bełtający się na suchym grzbiecie.

Mijamy kilka małych pól, rozrzuconych wśród rzadkich gaików drzew mangowych, na których piszczą i drą się niemiłosiernie zielone papugi, i wkrótce zatrzymujemy się na plantacji majnoku, świeżo okopanej i dokładnie wyplewionej z chwastów. Plantacja przypomina jakby ogromną kolonję kretowisk, każdy krzew rośnie w środku pagórka, te zaś odgrodzone są wąskiemi kanałami, mającemi na celu zatrzymanie jak największej ilości wody w czasie deszczu.

Stary Bodi tragicznym ruchem ręki wskazuje kilkanaście kopców rozrzuconych lub wgniecionych w miękką ziemię, na której dokładnie widać potężne, okrągłe prawie odciski stóp słonia.

Beile ogląda uważnie ślady, potem podchodzi do mnie i mówi:

— Panie, tędy szedł samiec duży i bardzo zmęczony, doścignięmy go prędko.

Otwieram szeroko oczy, patrzę ze zdumieniem na młodego tropiciela i pytam:

— Skądże ty wiesz, Beile, że to samiec i że zmęczony?

Nie otrzymuję jednak odpowiedzi, gdyż młody murzyn, jak ogar, rusza za śladem, wiodącym w rzadki las, podszyty kobiercem niewysokiej trawy.

I teraz zmienia się szyk naszej karawany. Beile prowadzi krokiem pewnym i szybkim, ja staram się dotrzymać mu kroku, za mną gonią półnadzy murzyni z karabinem i aparatem, na końcu zaś przezornie trzyma się stary Bondi, próbując często, czy strzały łatwo wychodzą z kołczana.

Słońce zaczyna dopiekać nie na żarty. Dżungla roi

się od chybkich, barwnych motyli, harcujących wśród nikłego jeszcze kwiecia, nad którem od czasu do czasu pokazuje się migocący bogactwem metalicznych barw koliber o długim, lekko zagiętym dzióbie. Czasem zerwie się z korony drzewa gromada drobnego ptactwa i z głośnym świergotem, szybko łomocąc skrzydłami, odlatuje w stronę potoku, — czasem lekkim, falistym lotem przetnie powietrze para tukanów, oryginalnym gwizdem oznajmiając swą obecność, to znów wśród traw pokaże drop szarą głowę, potrzęsie zdziwiony białemi bokobrodami i oddali się flegmatycznie z powagą angielskiego lorda. — Duże jaszczurki zmykają szybko na drzewa, a wychylając z za pnia swe żółte główki, bacznie obserwują nas czarnemi perełkami oczu.

Na ziemi krzyżuje się tysiące śladów, po których kształcie poznaję duże racice antylop Koba, pasiastych mina, ostro wycięte racice antylop końskich lub małe nóżki antylopek świńskich. Zryta gdzie niegdzie ziemia wskazuje niedawną obecność szerokonosych dzików afrykańskich, zbrojnych w potężne, łukowato zakrzywione kły, a kupki białych szczątków kości, pomieszanych z sierścią, mówią wyraźnie, że tędy przeszła nienasycona hiena, pozostawiając po sobie niestrawione ostatki biesiady.

Ślad słonia, wyciśnięty w miękkiej, bo nocnym deszczem zmoczonej ziemi, prowadzi nas w gęstwinę zbitych jak mur zarośli.

Przeciskamy się korytarzem, zrobionym w gęstwinie przez potężne ciało słonia, wstrzymują nas jednak gęste zarośla, o cienkich jak sznurki łodygach krzewów i zwisające w dziwacznych formach liany. Ostre kolce mimoz i krzewów akacjowych wbijają się w ciało, rwąc ubranie i kalecząc ręce. Przebijamy się z trudem przez ten wał roślin, torując sobie drogę szerokiemi, długiemi nożami murzyńskiemi i nagle stajemy, jak wryci.

Nr 95

Przed nami roztacza się znowu wypalona dżungla z pojedynczo rozsianemi drzewami mangów i mimoz, kilkanaście wysokich czerwonych kopców termitów sterczy, jak fantastyczne ruiny lilipucich zamków, — koło jednego zaś, oddalonego najwyżej o sześćdziesiąt kroków, stoi duży, czerwony bawół. Barwa sierści jego tak doskonale zlewa się z ceglastą barwą termitjery[1]), że niewprawne oko mogłoby, wziąć ciało zwierzęcia za twór pracy niezmordowanych owadów.

Bawół stoi, jak posąg wykuty z kamienia, — widać doskonale potężnie rozwinięte kształty, grubą krótką szyję, zawinięte ku sobie rogi i czarne niespokojne oczy.

Wyciągam rękę po karabin, lecz w tejże chwili uprzytomniam sobie, że idąc za słoniem, nie powinienem strzelać, aby nie spłoszyć zwierza, znajdującego się może gdzieś blisko, — biorę przeto aparat kinowy do rąk, lecz w chwili, gdy zadźwięczała sprężyna automatycznego „Ica“, bawół, zrobił kilka zwinnych skoków i szybkim, ciężkim galopem pomknął wdal ku przechodzącej grupce dużych gazeli „son“ (Cobus Kob).

Idziemy szybko dalej, za dokładnie widocznym śladem.

Słoń, idąc, zrywał z drzew liście, łamał gałęzie, a czasem i mniejsze drzewa.

Dostaliśmy się wreszcie na grunt twardy, skalisty. I tutaj dopiero poznałem, jak nieocenionym tropicielem był Beile. Szedł on równie szybko, jak i przedtem, gdy ślad był widoczny, czasem tylko przystawał, schylał się ku ziemi, podnosząc nieznaczną grudkę lub zmiażdżoną trawkę, znak bytności zwierza.

Słoń kołował po dżungli w samotnej swej prze-

---

[1]) Termitjer = kopiec, dosięgający czasami wysokości 5 metrów — gniazdo termitów.

chadzce, aż wreszcie ślady zaprowadziły nas w gęstwinę, obrastającą leniwie płynący potok. W rozmiękłej ziemi widać było setki głębokich odcisków słoni, krzyżujących się w przeróżne strony. Wysokie trawy, zmieszane z pnączami, tworzyły nieprzebitą gęstwinę, wśród której strzelały wysoko wgórę kolosy drzew, spowite grubemi lianami kauczukowemi. Z olbrzymich mimoz, okrytych delikatnem liściem, zwieszały się metrowej długości czarne stróki. Przeróżne pasorzyty wyrastały ze zwalonych i spróchniałych pni, wiążąc się cienkiemi łodygami w sieć gęstą, tamującą każdy krok. Tu duże rafje tuliły się do potężnych fikusów, tam ogromny baobab prostował swe kolosalne konary ku słońcu, jakby chcąc oswobodzić się ze splotów fantastycznie pokręconych, gigantycznych lian. Konary drzew, oblepione liśćmi, tworzyły rodzaj naturalnego baldachimu, przez który z trudem tylko przeciskały się promienie słoneczne. Na liściach i cienkich łodygach pełzały tysiączne rzesze dużych czerwonych mrówek, a w wilgotnem, parnem powietrzu unosiło się mnóstwo maleńkich muszek, natrętnie cisnących się do ust i oczu, dużych much, gryzących boleśnie, i roje komarów, wszczepiających malarję.

Posuwaliśmy się z trudem przez głębokie korytarze, wygniecione w gęstwinie przez ogromne cielska słoni, zapadając się co chwila w głębokie, pełne brudnej wody, dziury, porobione przez grube, do pni podobne, nogi tych zwierząt.

Beile często stawał, porównywał krzyżujące się ślady, macał rękami wtłoczone w muł odciski zwierząt i prowadził znów dalej przez grząski moczar ku otwartej, spieczonej słońcem dżungli.

Utonęliśmy na chwilę w wysokiej wysuszonej trawie, której długie ostre liście cięły nam ręce i twarze. Upał był niezmierny, to też z ciał murzynów płynęły

strugi potu, ja zaś z trudem wyrywałem nogi z gęstwiny traw. Lekkie ubranie było mokre od potu, a korkowy hełm ciężył nadmiernie. Z trudnością wciągałem w piersi gorące powietrze, zataczałem się ze zmęczenia i tylko niczem nie wytłumaczona ambicja dodawała mi sił do tego trudnego pochodu. Krótkie, bo zaledwo półgodzinne przejście przez wysokie trawy zdawało się wiecznością, — to też z prawdziwą ulgą wszedłem znów w otwartą dżunglę, porosłą kiełkującą dopiero zielenią. Spojrzałem na pedometr [1]) i skonstatowałem, że zrobiliśmy dwadzieścia ośm kilometrów, temperatura wynosiła +49° C.

Około dwunastej w południe weszliśmy znów w mroczną gęstwinę, obrastającą brzegi rzeczki.

I znów zaczęło się zapadanie po kolana w dusznych, zalanych wodą mokradłach, torowanie drogi przez wycinanie lian i pnączy, brodzenie po kolana w brudnej, porośniętej wodorostami wodzie.

Zmęczeni wreszcie i wyczerpani usiedliśmy w miejscu bardziej przestronnem i suchszem, aby posilić się śniadaniem i nabrać nowych sił do dalszego pochodu.

Koło nas panowało życie i gwar.

Ptactwo uwijało się wśród gałęzi z rozgłośnym krzykiem.

Tam na pochylonej nad wodą gałęzi siedział nieruchomo duży szary zimorodek, pilnie bacząc w leniwie płynącą toń. Nagle rzucał się jak kamień w nurty i wynosił z nich srebrną trzepocącą się rybkę. Tu znów dzięcioł pstrokaty stukał zawzięcie w pień akacji, spoglądając przytem uważnie na sunącego po gałęzi kameleona, który z szarego robił się zielonym lub żółtym, zależnie od otoczenia, w jakiem się znajdował. Po lianach przebiegały szybko szczury palmowe, wa-

[1]) Przyrząd do oznaczania przebytej drogi.

chlując się wdzięcznie puszystemi kitkami ogonów, gdzieś znów na dużym, do rozpiętego parasola podobnym, liściu siedziała ropucha, kumkając dziwnym, metalicznym, do srebrnego dzwonka podobnym głosem.

Czasami wśród konarów drzew ukazywała się grupka małp z pociesznie wykrzywionemi pyszczkami. Małpy, widząc nas, siadały na gałęziach, a obserwując uważnie, drapały się przytem łapkami po bokach, wreszcie zmykały z głośnem szczekaniem w gęstwinę, strasząc gromady piskliwych papug. Gdzieś niedaleko wzleciało z głośnym łomotem skrzydeł stado pantarek, a obsiadłszy gałęzie drzew, kłóciły się o coś zawzięcie, w czem pomagały im równie głośno duże turkawki.

Nagle, wpobliżu nas ozwało się głośne „hrrrmpff".

Murzyni zerwali się z ziemi, a stary Bondi, pochylając się ku mnie, wyszeptał: „Giwaje" [1]).

Opatrzyłem natychmiast broń i ruszyłem cicho za skradającym się jak kot Beile.

Przeszliśmy zaledwie kilkadziesiąt kroków i za ostrym zakrętem wysokiego brzegu rzeczki zobaczyłem słonie.

Było ich cztery.

Jeden, kolosalnych wprost rozmiarów, stał na niewielkiej mieliźnie i trąbą zrywał z drzewa soczyste liście, dwa inne, stojąc w rzeczce, nabierały trąbami muł, okładały nim grzbiety, zlewając je następnie obficie wodą, czwarty zaś, najmniejszy, bawił się wyrywaniem wodorośli, które otrzepywał o nogi i wolno podnosił do paszczy.

Pełznąc, podsunąłem się pod ogromny krzew sizalu [2]) skąd mogłem dokładnie obserwować zwierzęta, które,

---

[1]) Giwaje = słonie.

[2]) Krzew palmowy, z którego liści otrzymuje się doskonałe włókna do wyrobu worków i lin.

zajęte kąpielą, nie zwracały zupełnie uwagi na otoczenie. — Silny ciąg powietrza niósł ku mnie ostry, specyficzny zapach słoni i to zdaje się w dużej mierze sprawiło, że zwierzęta nie poczuły naszej obecności.

Znajdowałem się zaledwo o ośm kroków od największego słonia i dokładnie mogłem przyjrzeć się tym wspaniałym okazom świata zwierzęcego.

Boki i grzbiety słoni powalane były mułem rzecznym; ogromne, podobne do pni nogi tonęły po kolana w wodzie. Gruba, popielatej barwy skóra tworzyła na karkach i w pachwinach potworne fałdy; nieduże ogony zakończone były kiścią twardych jak kolce i długich na kilkanaście centymetrów włosów. Na ogromnych, do złamów skalnych podobnych głowach widać było olbrzymie uszy, pozostające w ciągłym ruchu, i oczka nieduże, pełne łagodnego wyrazu, nie licującego zupełnie z kolosalnemi rozmiarami zwierząt. Duże trąby, podobne do potężnych pytonów czy lian, wykonywały ruchy szybkie i precyzyjnie obliczone, a z pod nasady trąby widniały długie kły szarobrudnej barwy.

Widocznie kąpiel sprawiała słoniom wielką przyjemność, gdyż za każdem oblaniem się strugą wody wydawały z siebie radosne „hrrrmpff".

Bez szelestu wysunąłem lufę karabinu i przez chwilę trzymałem na muszce małe wklęśnięcie czaszki największego słonia. Strzał był pewny, lecz wstyd mi było zastrzelić z zasadzki zwierzę, nie przeczuwające grożącego mu niebezpieczeństwa, powtóre chciałem tę słoniową idyllę uwiecznić na filmie.

Skinąłem na leżącego tuż koło mnie Beilego i ten podał mi aparat. Odległość jednak była tak mała, że tylko kawał cielska zwierzęcia wychodził na wizjerze, spełzłem przeto cicho z wysokiego brzegu, a znalazłszy odpowiednie miejsce, puściłem aparat w ruch.

Głośne chlupanie wody głuszyło zupełnie dźwięk sprężyny, to też udało mi się przepuścić kilka metrów filmu. Nagle słonie nastroszyły uszy, wciągnęły w siebie trąbami powietrze, zakręciły się prawie w miejscu i szybkim galopem, łamiąc po drodze drzewa i krzewy, rzuciły się w gęstwinę. Porwałem karabin, lecz strzał był już niemożliwy.

Beile tymczasem chwycił aparat i pobiegł wpoprzek potoku, pociągając mię gestem za sobą. Przeskakiwaliśmy, jak małpy, przez wysokie trawy i krzaki, raniąc ręce i rwąc ubrania, po chwili jednak siedzieliśmy już pod niewielkim krzakiem, mając przed sobą z jednej strony zbitą gęstwinę, obrastającą dopiero co opuszczony potok, z drugiej zaś wolną brussę.

Nakręcałem automat aparatu, gdy nagle Beile szarpnął mię silnie za rękaw, wskazując równocześnie wychylające się z gęstwiny słonie.

Szły prosto na nas, to też postanowiłem je chwycić na film raz jeszcze przy dobrem świetle. Puściłem aparat, lecz idący przodem kolos zauważył już naszą obecność, gdyż podniósł trąbę do góry, nastroszył ogromne uszy i z głośnym rykiem ruszył na nas. Beile podał mi karabin, zmierzyłem szybko celując w czoło, i dałem ognia. Zwierz zachwiał się, opuścił głowę w dół, lecz trwało to tylko mgnienie oka, bo gdym zarepetował broń i podniósł ją do oka, słoń był zaledwo o kilka kroków. Uskoczyłem za spore mangowe drzewo i w tejże chwili czarna trąba obwinęła się jak wąż naokoło pnia, drzewo chrupnęło tylko i zwaliło się z trzaskiem na ziemię. Strzeliłem po raz drugi, mierząc w ucho. Słoń stanął jakby osłupiały, a potem wydał z siebie głos tak straszny, że mimo grożącego mi niebezpieczeństwa opuściłem broń. W ryku słonia słychać było nutę bólu, rozpaczy, a wreszcie dźwięk jakiejś dziwnie przejmującej żałości. Wszystko to trwało zaledwo kilka sekund, a jed-

nak ryk ten pozostał w mej pamięci na zawsze. Strzeliłem raz jeszcze, mierząc pod łopatkę, słoń zwalił się całym ciężarem na ogromny baobab, lecz po chwili podniósł się i zlewając obficie krwią ziemię i liście traw, zniknął w gęstwinie.

Rzuciliśmy się w pogoń, lecz już po kilku minutach wstrzymała nas gęsta sieć lian.

Na drugi dzień poszedł Beile w towarzystwie kilku murzynów szukać słonia. Znalazł go o cztery km. od miejsca ranienia, leżącego w kałuży krwi. Liczne świeże zupełnie ślady słoni wskazywały, że próbowały one widocznie podnieść kolosa i uprowadzić gdzieś w bezpieczne miejsce (jak to często robią słonie ze swemi ranionemi towarzyszami), wysiłki te jednak nie doprowadziły do skutku, słoń leżał, dogorywając.

Beile, widząc bezwładnie leżącego słonia, podszedł ku niemu i parę razy uderzył go nożem w trąbę. I nagle stało się coś niespodziewanego. Zwierz momentalnym ruchem chwycił murzyna trąbą, wbił go na kieł, przebijając nawylot udo, potem rzucił w grząski muł i temu zapewne zawdzięcza murzyn, że ocalał przy życiu. Słoń powstał i chwiejąc się ruszył nie ścigany przez resztę murzynów w dżunglę.

Raniony Beile znalazł jeszcze tyle sił, że doszedł do najbliższej wsi, oddalonej od tego miejsca o dwadzieścia kilometrów, skąd natychmiast wysłał wiadomość o wypadku. Przewiozłem go do Bodikaha automobilem, następnie, zabrawszy murzynów, ruszyłem na poszukiwanie słonia.

Czy jednak murzyni nie byli dobrymi tropicielami, czy bali się, aby nie spotkał ich los Beilego, dosyć, że znaleziony początkowo ślad, wskazujący, że słoń co kilkaset kroków padał, zgubili i odnaleźć już tego dnia nie mogli.

Dopiero w kilka dni później specjalnie zorganizo-

wana pogoń znalazła słonia martwego w głębokiej gęstwinie, dokąd, jak się pokazało ze śladów, zaprowadziło go i skryło kilkanaście innych słoni.

Wypadki uprowadzania bezsilnego lub ranionego słonia są bardzo częste.

Pan de Chanaud opowiadał mi, że zraniwszy raz ciężko dużego słonia, już gotował się dobić go drugim strzałem, gdy nagle ranione zwierzę zaczęło wydawać z siebie jakieś urywane ryki, na których głos wybiegło z pobliskiej gęstwiny kilka słoni, podniosły trąbami ranionego i podtrzymując, uprowadziły gdzieś w dżunglę, gdzie mimo najstaranniejszych poszukiwań słonia nie odnaleziono.

Inny myśliwy opowiadał, że zabłąkawszy się w dżungli, zmuszony był przesiedzieć noc na drzewie. O świcie zbudziły go głośne ryki słoni, które, idąc zbitą gromadą, prowadziły chwiejącego się słonia. Myśliwy, zaintrygowany zachowaniem się zwierząt, zsunął się z drzewa i śledził ten niezwykły pochód.

Zwierzęta, doszedłszy do głębokiej rozpadliny, strąciły tam bezsilnego już towarzysza, następnie poczęły zsuwać na niego ziemię i krzaki dopóty — dopóki zwierzę nie zostało zupełnie zagrzebane. Przez cały czas grzebania słonia, inne wydawały z siebie płaczliwe — żałosne ryki.

Jeśli opowiadanie myśliwego jest rzeczywiście prawdą, to łatwo można sobie wyjaśnić, dlaczego nigdy prawie nie znajdują murzyni szkieletów zdechłych lub zabitych słoni.

KOZŁY SKALNE

Kilkanaście kilometrów na północny wschód od Ułankomu [1]) ciągnie się łańcuch gór, zwanych przez Mongołów „Uljasy".

Widne zdaleka, nęcą oko podróżnika dziwnemi refleksami zaśnieżonych szczytów, hal obszernych, wyraźnie odbijającego się pasu kosodrzewiny i modrych lasów, wreszcie przechodzą u podnóża swego w lekko pochylone pastwiska, łączące się z bujnemi stepami, ciągnącemi się aż hen ku Małemu Ałtajowi, oddzielającemu zachodnio-południową część Mongolji od piaszczystej Dżungarji.

Uljasy są dla mieszkańców Ułankomu i okolicznych stepów niewyczerpanem źródłem budulca w postaci wyniosłych modrzewi i potężnych sosen, dają im mnóstwo futer z kryjących się w rozpadlinach skalnych zwierząt, są nieprzebranym skarbcem różnych minerałów, nie eksploatowanych dotychczas niestety, a najwyższy szczyt tych gór, skalisty Chara-Tołogoj wróży czas pogodny lub też straszne nawałnice.

W zimie, gdy Uljasy spowite są białym całunem, a śnieg, lśniąc miljonami iskier, nabiera dziwnie lazurowej barwy, łączącej się z kolorem nieba, — pogoda zapewniona jest na czas dłuższy, lecz gdy Chara-Toło-

---

[1]) Ułankom = miejscowość w zachodnio-północnej Mongolji.

goj zasnuje się ciemnemi płachtami chmur, gdy od skalistego szczytu posłyszy się ciężkie westchnienia wiatru, to każdy, Mongoł, czy też podróżny, jadący stepem, popędza prędzej swe wielbłądy, aby jak najrychlej znaleźć się gdzieś w gościnnej jurcie, gdyż Chara-Tołogoj daje znak, że idzie na stepy „sługa śmierci", bezlitosny buran [1]), mrożący swym oddechem płuca ludzi i zwierząt, — zasypujący bez śladu całe karawany.

Wczesną wiosną, gdy prażone słońcem lodowe okowy potężnego Ubsa-noru [2]) pękają z hukiem, głos ten podchwytują Uljasy, a odbiwszy tysiącznem echem, posyłają daleko w stepy, zwiastując ludziom radosną nowinę, że wiosna nadchodzi nastałe i mrozy nie zwarzą już młodej, nieśmiało jeszcze kiełkującej trawy.

A z gór zsuwają się ogromne lawiny śnieżne, tają powoli, zamieniają się w bulgocące strumienie, łącząc się z sobą w wartkie potoki i rzeczki, które, rozbijając się z wściekłością o progi skalne, obryzgując pianą kamienie, rwą na niziny, rozlewając się szeroko, aby po tygodniu zniknąć zupełnie, wchłonięte przez spragniony step. Tylko w jamach lub głębszych dolinkach świeci długo jeszcze srebrzyste zwierciadło wody, a na niem snuje się tysiączna rzesza ptaków błotnych, głośnym krzykiem zwiastując swe zadowolenie z wiosny, ciepła i słońca.

Uljasy pokrywają się wtedy kobiercem jasnej zieleni, nad którą ciemnemi konturami rysują się postrzępione turnie, dostępne tylko orłom i lekkonogim argali (barany skalne) lub kozłom skalnym, nad wszystkiem zaś góruje poważny, tajemniczy Chara-Tołogoj, z głową przyprószoną siwizną śniegu.

---

[1]) Buran = burza śnieżna.

[2]) Ubsa-nor — jezioro przeszło 250 km.^{2} pow. wpobliżu Ułankomu.

Z okna mojej fan-tse [1]), stojącej na wschodniej części Ułankomu, widać było dokładnie wyjeżdżoną w śniegu drogę, prowadzącą w Uljasy, skąd sprowadzano belki na budowę nowej świątyni w pobliskim klasztorze. Drogą tą codziennie przesuwały się dziesiątki zaprzęgów koni, ciągnących na prymitywnie skonstruowanych saniach grube pnie modrzewiowe, przechodziły karawany flegmatycznie idących wielbłądów, na których wieziono do osady snopy wiązek karagany [2]), rozchwytywanej na targu przez kupców chińskich i lamów klasztornych.

Zima była nadzwyczajnie mroźna i śnieżna, to też Mongołowie, osiedli w okolicach równinnych, koczowali w miejsca bardziej górzyste, wystawione na podmuchy wiatru, zdzierającego ze wzgórzy śnieg i odkrywającego ogromne przestrzenie, porośnięte żółtą zmarzniętą trawą, na której pasły się teraz stada baranów, koni i bydła rogatego. Do stad tych podchodziły często grupki argali, gromady saren lub marali i pasły się w najlepszej komitywie z nawpół zdziczałem bydłem domowem.

Zaśnieżonemi stepami przeciągały po kilka tysięcy sztuk liczące stada kozłów [3]), przenosząc się na nowe pastwiska, za niemi zaś szły gromady wilków, porywając odchodzących od stad maruderów lub napadając na tabuny koni.

Zgłodniałe lisy wyszukiwały wśród głębokich śniegów korytarze, grzebane przez stada kuropatw, lub podchodziły z prawdziwem mistrzostwem dropie [4]), pojedynczo biegające po zaśnieżonych polach.

---

[1]) Dom z gliny, zmieszanej ze słomą, budowany wedle chińskiej architektury, nazwany przez kolonistów rosyjskich fanza.

[2]) Karagana = Caragana jubata, krzew niezmiernie żywiczny, dobry na opał, ulubiony pokarm wielbłądów.

[3]) Kozioł dziki = Ibex sibirica Mayer, po mongolsku: Jeman.

[4]) Otis-Dybowskii-Taczanowskii.

Kozioł skalny *(Capra Ibex)*

Handel futrami wzrastał coraz bardziej. W ręce kupców chińskich przechodziły pęki skór sobolich, lisich, błękitnych wiewiórek, srebrem przeświecające futra wyder, rudawo cętkowane skóry rysi, bure, długowłose futerka tchórzy i wiele innych.

Często widziało się myśliwych, wracających z długich polowań, wiozących na koniach lub wielbłądach stosy skór maralich [1]), koźlich, wilczych lub dzerenich (Gazella gutturosa), wiązki cennych rogów maralich lub woreczki pełne piżmowych gruczołów kabargi (Moschus moschiferus).

Zdobycz szła w ręce kupców, myśliwi zaś napełniali swe sakwy ryżem, cukrem, mąką i tytoniem i znów ruszali w step lub góry w poszukiwaniu nowej zdobyczy.

W jasny mroźny poranek przybył do mej fanzy tusułakczi [2]) Bator, pomocnik miejscowego saita [3]), wielki mój przyjaciel.

Po tradycyjnem wypaleniu fajek i wypiciu w milczeniu kilkunastu czarek herbaty, rozpoczęła się rozmowa o rzeczach aktualnych, a między tem i o polowaniu. Opowiadałem Batorowi o łowach na niedźwiedzie i łosie w tajgach syberyjskich, wychwalając równocześnie wspaniały zwierzostan Mongolji.

Bator, zamiłowany myśliwy, słuchał opowiadań z roziskrzonemi oczyma, wreszcie zaproponował mi polowanie na kozły skalne, których duże stada kręciły się na turniach Uljas.

Omówiliśmy szczegóły i Bator pojechał do swych

---

[1]) Maral (Cervus Maral Taczanowski), szlachetny jeleń syberyjski, żyjący także i w Mongolji.

[2]) Tusułakczi = wysoki urzędnik mongolski, przeważnie z książęcego rodu.

[3]) Sait = książę-gubernator mongolski, w tym wypadku z okręgu Ułankomu.

jurt, odległych o kilka kilometrów od Ułankomu, aby przygotować niezbędne do polowania sarłyki („jak“ mongolski) i wysłać kilkudziesięciu Mongołów jako nagonkę.

Po południu wyjechałem wielbłądem z Ułankomu i po paru godzinach jazdy przez śnieżystą powłokę stepu stanąłem w jurtach brata Batora, gdzie naznaczono zborny punkt.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy w góry, jadąc na sarłykach. Zwierzęta te, jakkolwiek ciężko i niezdarnie wyglądające, są w górach niezrównanemi wierzchowcami. Idą zwinnie i śmiało tak po stromych pochyłościach gór, jak i po wąskich ścieżynach nad zawrotnemi przepaściami, po których przebiegają stada argali i dumnych kozłów skalnych.

Zagłębiliśmy się w las gęsto obrastający zbocza gór.

Ptactwo, zbudzone przedzierającym się świtem, rozpoczęło z głośną wrzawą szukanie pożywienia po drzewach i krzakach, zbierając szybko pomarznięte jagody i szyszki. Gdzieś z pojedynczo stojącej brzozy zerwało się stado cietrzewi, czasem głuszec mignął wśród konarów sosny lub z głośnym gwizdem wzleciało stado spłoszonych jarząbków.

Na polankach i odkrytych zboczach widać było grupki saren, zawzięcie odgrzebujących śnieg w poszukiwaniu trawy, pod osłoną bystro przeglądających okolicę samców-stróżów.

Wysmukłe pnie drzew karłowaciały w miarę posuwania się naszego w górę, aż wreszcie zamieniły się w niską, pokręconą okropnie kosodrzewinę, przypominającą wyglądem swym zniekształcone i poranione członki kalek.

Wśród kosodrzewiny tej krzyżowały się gęsto szerokie ścieżki, wydeptane w śniegu przez stada argali i ma-

ralów, schodzących z hal w nizinne polanki, lub sączące się szybko niezamarzające ruczaje.

Sarłyki torowały sobie drogę przez gęste krzaki szybko i pewnie, to też wkrótce potem sunęliśmy już naukos po halach, podnosząc się w górę ku skalistym grzbietom.

Pochód stawał się ciężki i niebezpieczny.

Na drodze naszej leżały zwalone masywy skalne, nakształt spiętrzonego muru kamieni, tamującego każdy krok; tu i owdzie zwietrzałe skały tworzyły głębokie przepaście i jary, w których lśniły lazurem zamarznięte tafle wodospadów i krętych strumieni.

Z rozkoszą wciągałem w piersi ostre, mroźne powietrze, podziwiając równocześnie niezwykłą zwinność sarłyków. Szły one, zdawało się, zupełnie obojętnie, a jednak z szybkich spojrzeń, rzucanych przez bystre oczki, ledwo widoczne z gęstwiny długich włosów, widziało się, że zwierzęta te nie idą naoślep, lecz wybierają drogę z pewnem zastanowieniem. Jak dobry myśliwy, polujący w wysokich górach, instynktownie stawia nogę na silnie stojącym występie, omijając luźne kamienie, tak i sarłyki stawiały szerokie swe racice na twardo trzymających się skałach, omijając umiejętnie rozsypiska zdradzieckie lub niezwiane przez wiatry zaspy śnieżne, wypełniające głębokie szczeliny. Gdy, wśród piętrzących się skał, wąska ścieżyna wiodła nad bezdenną przepaścią, sarłyki szły nieśmiało, pochylając się czasem w prawo lub lewo, aby ciężarem swego ciała utrzymać równowagę.

W ten sposób, zależni tylko od zwinności i instynktu sarłyków, dostaliśmy się na szeroki grzebień skalny.

Zlazłem z mego nieocenionego rogatego wierzchowca i pozostałem sam wśród kamiennej pustki, gdyż towarzyszący mi Mongoł sprowadzał sarłyki na hale.

Bator powinien był znajdować się na sąsiedniej górze, nagonka zaś miała rozpocząć swą pracę po ustawieniu się myśliwych.

Siedząc wygodnie na płaskiej bryle kamiennej, napawałem się pysznym widokiem, roztaczającym się z tego naturalnego obserwatorjum. U stóp moich widać było poszarpane kamienie, niby ruiny potężnych zamków, wzniesionych przed wiekami przez Cyklopów, niżej obszerne hale, potem ciemny pas lasów, aż wreszcie wzrok tonął w bezbrzeżnych stepach.

Przez silne szkła polowe widziałem wdali maleńkie kontury klasztoru w Ułankomie i czarne plamy fanz kupców chińskich i kolonistów rosyjskich. Przez zamarznięty Ubsa-nor ciągnęła do Ułankomu karawana wielbłądów, znacząc się długim rdzawym szlakiem na czystej bieli śniegów.

Północna strona mego stanowiska miała mniej rozległą perspektywę, lecz zato imponowała swą dzikością. Od góry przeciwległej oddzielał mię jar głęboki, zawalony stosami potężnych bloków kamiennych, dziki, poszarpany, bez śladu krzewu lub trawki, jakby fantastyczna kraina zamarłego księżyca.

Słońce było już dość wysoko i przeglądało się zalotnie w kryształowych zwierciadłach spętanych lodem wodospadów, iskrzyło się oślepiająco na białych zamarzniętych stepach, a na szczytach gór zaglądało ciekawie w rozwaliska skał, tworząc przytem cienie fantastyczne lub grając gamami kolorów na wypolerowanych przez wiatry kamieniach.

W szerokiem rozsypisku skalnem zauważyłem kilkanaście ułarów (rodzaj indyków skalnych), które, szukając ziarna między drobnemi kamykami, nawoływały się głośnym świstem.

Nagle jeden z ptaków, stojący trochę na boku z przekrzywioną główką, wpatrzony w lazurowe niebo,

wydał z siebie silny, ostro brzmiący świst, jakby sygnał ostrzegawczy — i całe stado w mgnieniu oka zleciało ciężko wdół, niepewnie poruszając skrzydłami, równocześnie prawie mignęło mi w oczach coś czarnego, spadło jak kula, a po chwili zobaczyłem potężnego orła[1]), wznoszącego się wgórę silnemi, krótkiemi uderzeniami lotek, a w szponach jego trzepotał ułar, urywanym żałosnym świstem żegnając się ze swymi towarzyszami, czy też wzywając ich pomocy. Orzeł wznosił się coraz wyżej, aż siadł na skalistej turni Chara-Tołogoju, gdzie zapewne tłusty ptak stał się pierwszą ranną przekąską mocarza przestworzy.

Towarzyszący mi Mongoł Cugur, sprowadziwszy sarłyki na hale, wdrapał się, jak akrobata po wiszarach i leżał koło mnie, trzymając w ręku swą długą skałkówkę, opatrzoną widełkami, dla tem pewniejszego strzału.

Mongoł obejmował bystrem spojrzeniem swych czarnych, wąskich oczu sąsiednie szczyty.

Nagle, wskazując palcem na niedaleką przełęcz, szepnął: „Marale".

Zwierzęta, spłoszone widocznie nagonką, przeszły hale i wąską ścieżyną wspinały się „gęsiego" ku przełęczy. Szły wolno, z właściwym sobie wdziękiem, kiwając głowami, osadzonemi na łabędzich szyjach, prowadzone przez ogromnego, muskularnego samca, zgrabnie przeskakując rozpadliny lub leżące na drodze odłamy; barwa skóry zwierząt tak silnie zlewała się z barwą kamieni, że chwilami gubiłem je z oczu.

Marale szybko zsunęły się w jar i po chwili znów wspinały się wgórę wprost na stanowisko Batora.

Nagle między wiszarami przeciwległych skał błysnął obłoczek białego dymu, potem grom strzału ozwał się

---

[1]) Auliaetus lemoryphus Pall.

tysiącznem echem i samiec stanął dęba na tylnych nogach, a potem zwalił się ciężko wdół. Reszta zwierząt rozbiegła się jak stado przepiórek, gdy w nie uderzy nienasycony krogulec, a dwie młode łanie przebiegły w oddaleniu kilkunastu metrów od mego stanowiska. Gdzieś wdali ozwało się kilkanaście strzałów.

Pochyłością góry pomknęło w szalonych skokach stado argali i znikło w gęstwinie kosodrzewiny, wślad za niemi przemknęły, jak duchy, dwie kabargi [1]), ledwo nogami dotykając ziemi. Zwierzęta pochyliły wtył głowy, wyprężyły swe zwinne ciała i niosły się naoślep przez kamienne zwaliska, — tylko u samca błyskały długie, wdół zwieszone kły.

Wdali rozlegały się coraz częściej gorączkowe wystrzały, coraz częściej też pokazywała się zwierzyna. Na stanowisku Batora padło już kilka argali, ja jednak nie strzelałem do przebiegającej mimo zwierzyny, czekając na właściwych mieszkańców tych turni, na skalne kozły.

I nagle serce zamarło mi w piersiach, a potem krew gwałtownie napłynęła do głowy; przez chwilę słyszałem głośny stuk serca i, pragnąc się uspokoić, ścisnąłem z całej siły rękę Cugura.

Przede mną na dużej platformie skalnej, oddalonej najwyżej o pięćdziesiąt kroków, stał, jak posąg, wspaniały kozioł.

Zwierzę było zwrócone do mnie bokiem, stojąc na samym brzegu kamiennej ściany głębokiego jaru, i bystro śledziło okolicę. W jasnych promieniach słońca połyskiwała lekko jego szarobura sierść i piękne, łukowato zagięte rogi, sfałdowane u nasady grubemi karbami. Małą bródkę, zwisającą u dolnej szczęki, targał lekko wietrzyk, ciągnący w naszą stronę. Siedziałem

---

[1]) Kabarga Moschus moschiferus war siberica.

skulony za kamieniem, nieznacznym ruchem podnosząc broń do oka. Kozioł nagle obrócił się w moją stronę i zdawało mi się, że duże jego oczy patrzą uporczywie we mnie. Zamarłem bez ruchu, wstrzymując oddech. Zwierz, uspokojony widocznie, zwrócił swą uwagę na jar, uderzajac przytem parę razy racicą w skałę. Z za kamienia pokazała się, jakby na to hasło, głowa drugiego kozła.

Strzeliłem.

Zwierz, stojący na platformie, skoczył wgórę, jak piłka odbita od ziemi, załamał się dziwnie jakoś w powietrzu i runął wtył.

Równocześnie prawie rozległ się gromki strzał skałkówki Cugura i głowa drugiego kozła znikła, jak błyskawica.

Z za obłamów skał mignęło kilkanaście burych ciał, rwących w popłochu po wiszarach. Zobaczyłem kilka kozłów, które, podwinąwszy nogi pod siebie, rzuciły się zdecydowanym ruchem w przepaść. Tuż przed upadkiem na skałę, sterczącą o jakieś piętnaście metrów niżej, zwierzęta wyciągnęły nogi, schyliły głowy i padły na nasadę rogów, podsuwając równocześnie na to samo miejsce sprężyste, jakby z najlepszej stali zrobione nogi.

Strzeliłem raz jeszcze do dosyć sporego kozła i ten, zrobiwszy kilka gwałtownych skoków, pozostał nieruchomo na kamieniach.

Jeszcze dwa razy tego dnia strzelałem do kozłów i z tych jednego, niezbyt widocznie dobrze ugodzonego, dobili Mongołowie, drugi zaś omal nie stał się przyczyną śmierci Cugura.

Mongoł, ściągnąwszy dwa poprzednio zabite kozły, spuścił się rozsypiskiem w jar, gdzie na złomie skalnym leżał ostatnio trafiony zwierz. Cugur, będąc pewny, że zwierzę leży już martwe, chwycił je za nogi, lecz w tejże chwili kozioł zerwał się jak oparzony i ude-

rzył Mongoła rogami tak silnie w brzuch, że ten, wywróciwszy koziołka, zleciał wdół na ostre kamienie, tłukąc się dotkliwie. Kozioł, zebrawszy ostatki sił, przebiegł jeszcze kilkaset kroków, aż wreszcie zatrzymała go druga kula mego Mauzera.

W jasną, gwiaździstą, chociaż mroźną, noc, wracaliśmy pełni wrażeń z karawaną, obładowanych trofeami polowania sarłyków, do gościnnej jurty Batora, gdzie oczekiwało nas jasnym płomieniem buchające ognisko i zasłużony spoczynek.

W DŻUNGLI AFRYKAŃSKIEJ.

(Polowanie na antylopy.)

Wczesnym rankiem, o świcie zaledwie różowiącym się ruszyliśmy automobilem na północ od Bodikaha, drogą do Koroho, aby na brzegach niewielkiej rzeczki zapolować na antylopy. Droga automobilowa, utrzymana niezwykle starannie, pozwalała rozwinąć większą szybkość, mknęliśmy więc, mając po bokach drogi sawannę z niewysoką trawą oraz rzadkie gaiki drzew mangowych i pojedyncze kolosy baobabów i serowców.

Tam, gdzie droga przechodziła przez niewielkie, leniwo płynące potoki, roślinność stawała się bardziej gęstą, a brzegi potoków obrośnięte były zbitym murem przeróżnych drzew, powiązanych fantastycznemi splotami lian, na których jak kwiaty, siedziały niespokojnie krzyczące papugi i inne różnokolorowe ptaki, mieniąc się w ukośnych promieniach wschodzącego słońca metalicznemi blaskami barw.

Na drodze przechadzały się poważnie szare dropie, szukały czegoś zawzięcie pstre pantarki, a rowami przebiegały małe szczury palmowe w najlepszej komitywie z kuropatwami i brunatnemi, dzikiemi kurkami. Wśród traw widać było małe antylopki, które na odgłos warkotu motoru podnosiły swe piękne główki, uzbrojone cieniutkiemi prostemi rożkami, przeprowadzając nas spokojnym zupełnie wzrokiem.

Czasem gdzieś z rowu wyskakiwała mała, czerwono zabarwiona antylopka-świnka i kryła się w gęstwinie niewypalonej jeszcze brussy, lub gdzieś na rozłożystych konarach drzew skakały i przedrzeźniały się niewielkie długoogoniaste małpki.

Tu i owdzie na drodze spotykaliśmy czarne, nagie prawie postacie murzynów, niosących swym zwyczajem ciężary na głowach, czasem brzegiem brussy przeszedł czarny myśliwiec, uzbrojony w łuk lub ogromny długi falkonet, ozdobiony fetyszami i muszelkami.

Ze wsi, położonych przy drodze, wybiegały gromady nagich zupełnie dzieciaków murzyńskich i stając na kraju drogi, pozdrawiały nas, radośnie klaszcząc rękami, gdy inne, więcej tchórzliwe, chowały się za matki, wychylając tylko z za ich plec czarne jak heban główki, ozdobione barankowato kręcącemi się kędziorkami.

Przemknęliśmy koło dużej wsi, otoczonej gajem baobabów, na ich bezlistnych gałęziach leżały długie słomiane ule; między potwornemi pniami drzew wznosił się duży kurhan, ułożony z rogów przeróżnych antylop, to grób sławnego czarnego myśliwca, który padł w boju z krwiożerczą panterą; nieco dalej stał szereg wysokich, do urn podobnych naczyń, osadzonych na cienkich kamiennych nóżkach, — to murzyńskie śpichlerze na proso i inne ziarno, schowane tu przed termitami.

Niedaleko wsi pasło się wśród świeżej, niewysokiej trawy stado małych antylop. Nie zatrzymywaliśmy się, bo mieliśmy grubokalibrowe karabiny, a zresztą antylopki te strzelaliśmy codziennie tuż koło osady z mało kalibrowego Winchestera.

Nieco dalej stała jak posąg piękna, duża antylopa „minna“ (Tragelaphus scriptus). Ciemnoceglaste boki antylopy pokreślone są białemi pręgami, nad dumną

zgrabną głową wznosiły się piękne, dość długie, ostre rogi. Szofer wstrzymał maszynę, lecz antylopa w tej chwili przebiegła dużemi skokami przez sawannę i skryła się za grupę czerwonych termitjerów.

Po kilkunastu minutach dalszej drogi zatrzymaliśmy się tuż przy moście, przerzuconym przez głębokie koryto nawpół wyschniętej w sezonie suszy rzeki. Ze wsi rozrzuconej opodal rzeki, przybiegło kilku murzynów, a dowiedziawszy się, że przybyliśmy na polowanie, zaofiarowali nam swe usługi jako przewodnicy. Wybraliśmy czterech z nich, a rozdzieliwszy się na dwie grupy, ruszyliśmy już piechotą na łowy.

Towarzysz mój p. Paulini poszedł brzegiem rzeki, gdyż murzyni obiecywali pokazać mu hipopotamy, ja jednak, chcąc zapolować na antylopy, ruszyłem wbok, kierując się na las, za którym miała być obszerna sawanna.

Przebyłem dosyć dużą, wypaloną zupełnie przestrzeń i zagłębiłem się w lesie. Tu rosła wysoka trawa, a w wilgotnym gruncie widać było mnóstwo przeróżnej wielkości śladów zwierząt. Tuż obok okrągłych odcisków słoni i hipopotamów znaczyły się półkoliste racice bawołów, obok drobnych, filigranowych śladów małych antylopek widać było duże głębokie odciski antylop końskich, ostre ślady dzików afrykańskich, antylop „son“ (Cobus Kob) i „tankonów“ (Bubalis Caama).

Wkrótce las począł rzednąć i ukazała się nam ogromna sawanna, pokryta bujną miękką trawą. Towarzyszący mi murzyn, który spoglądał bacznie na polanę, zatrzymał się nagle i ruchem ręki wskazał stojącego o kilkadziesiąt kroków dalej pięknego samca „son“. Antylopa pasła się spokojnie, podnosząc od czasu do czasu głowę. Zacząłem podkradać się, skrywając się za pniami drzew lub pojedynczo rosnącemi krzewami i po

Antylopa posiasta (minna) *(Tragelaphus scriptus)*

dłuższej chwili byłem w odległości stu kilkunastu metrów. Dalsze skradanie się było niemożliwe, gdyż nie było już najmniejszego krzewu, a trawa była zbyt małą, zaryzykowałem przeto strzał.

Samiec stał zwrócony do mnie trochę naukos, z podniesioną wysoko głową, ozdobioną pięknemi, lirowato wygiętemi, karbowanemi rogami i patrzył w moją stronę. Czujnych jego uszu doszedł widocznie trzask jakiejś złamanej gałązki lub ze zmiennym wietrzykiem zaleciał zapach ciał ludzkich.

Strzeliłem. — Antylopa zwaliła się, jak piorunem rażona i pozostała bez ruchu na miękkiej trawie. Podbiegliśmy prędko do zdobyczy, ale użycie noża okazało się niepotrzebnem. Duża, ekspansywna kula kara-

binu uderzyła zwierzę ukosem w kark, przeszła przez serce i wyszła pod łopatką, śmierć była natychmiastową.

Równocześnie z odgłosem strzału, powtórzonem kilkakrotnie przez echo, z wysokich traw w środku sawanny zerwało się ogromne, bo kilkaset sztuk liczące, stado łani „son“ i, przebiegłszy kilkadziesiąt kroków w największym nieładzie, zatrzymało się, obserwując nasze ruchy. Pozostawiwszy zabitego samca, zbliżaliśmy się naukos ku stadu, które puściło nas prawie na sześćdziesiąt kroków. Wypatrywałem samca, lecz w stadzie były tylko łanie, do których strzelać nie chciałem.

Najbardziej jednak ubawiło mię ciekawe zachowanie się stada. Dopóki szedłem, zwierzęta stały zupełnie spokojnie, obracając na mnie swe piękne głowy, lecz w momencie, gdym stawał, stado w szalonych susach odbiegało na kilkadziesiąt kroków. Kilkakrotnie powtórzyłem podchodzenie i stado zawsze powtarzało ten manewr, raz nawet udało mi się podejść do stada na niespełna trzydzieści kroków i wtedy dopiero łanie wolnym krokiem poszły równolegle do mnie.

O kilkaset kroków od stada, w dosyć dużych odstępach stały pojedyncze antylopy, jakby pikiety na czatach.

Były to samce. Korzystając z terenu, tworzącego w pewnem miejscu rodzaj dosyć głębokiego wąwozu czy rowu, podsunąłem się do wspaniałego samca. Odległość była zbyt wielką na pewny strzał, począłem przeto pełzać ku samotnie rosnącemu kolosalnych rozmiarów baobabowi. Zbliżywszy się prawie na ośmdziesiąt metrów, strzeliłem.

„Son“ padł, lecz momentalnie zerwał się i włócząc przednią nogą oddalił się szybko, aby połączyć się ze stadem.

Strzał oddany był w pierś, byłem przeto pewny, że zwierzę jest ciężko ranione i na pewno padnie gdzieś

Tankon *(Bubalis Caama)*

niedaleko, a mając tak doskonałych tropicieli, jakimi są murzyni ze szczepu Bambara, mogłem być pewny, że zwierzynę odnajdę.

Nie tracąc przeto czasu na daremną narazie gonitwę i próżne płoszenie zwierzyny strzałami, ruszyłem dalej.

Polana przechodziła szerokim pasem do wyschniętego potoku i tu widać było setki głębokich dziur, wyciśniętych nogami słoni, z drugiej zaś strony droga podnosiła się stromo wgórę, tworząc dosyć wysoki pagórek, na którym z pod pożółkłej zeszłorocznej trawy przeglądały zwaliska skalne. Było to wymarzone miejsce odpoczynku dzików, niestety znalazłem

tylko stratowaną trawę, znak niedawnej bytności jakiegoś grubego zwierza, a dalej wśród gęstwiny traw leżały poszarpane i objedzone już prawie doszczętu ostatki dużej antylopy. Murzyn, badając uważnie ślady, pokazał mi zupełnie wyraźne i świeże odciski potężnych łap lwich. Lecz widocznie, gdy „władca dżungli" nasycił swój głód i odszedł na spoczynek, przybyły posilić się ostatkami wstrętne, śmierdzące hieny, bo około ofiary nocnego mordu, znaczyły się świeże jeszcze, niezeschłe kupki drobnych kości, pomieszanych ze sierścią.

Miałem wielką ochotę iść za śladem lwa, lecz murzyn niezbyt wiele okazywał ku temu chęci i już po kilkunastu krokach ślad ten zagubił, zmusić go zaś do odszukania było niepodobieństwem.

Od strony rzeki rozlegały się od czasu do czasu strzały, co mię upewniało, że i mój towarzysz niedarmo chodził po brussie.

Zbliżało się jednak południe i słońce, stojąc prawie w zenicie, prażyło swemi gorącemi promieniami.

Wędrówka po dżungli w tych godzinach jest męczącą i prawie bezowocną, bo zwierzyna chroni się przed upałem w cieniste lasy i potoki. Wróciliśmy przeto na sawannę, aby pójść śladami ranionej poprzednio antylopy.

Wkrótce potem udało się nam odnaleźć postrzelonego samca, leżącego bez życia w gęstwinie krzewów akacjowych. Zwierzę miało zdruzgotaną w łopatce nogę i poszarpane wnętrzności, mimo tego zdołało przejść jeszcze około dwuch kilometrów.

Na skraju lasu stało kilkunastu murzynów, zwabionych strzałami; przyszli oni zapewne w nadziei zarobku za odniesienie zdobyczy, a może w chęci zabrania ranionego zwierza. Murzyni ci, zawołani przez mego przewodnika, związali natychmiast antylopie nogi, przesunęli przez nie długi kij i ruszyli ku wsi. Koło

samca, zabitego pierwszym strzałem, gospodarowały już sępy, które, wydarłszy zwierzynie oczy, zabrały się do rozszerzania rany, rwąc piękną skórę antylopy swemi ostremi dzióbami i szponami.

Sępy, spędzone przez murzynów, powróciły natychmiast i niejeden z nich z prawdziwą, prawie pogardliwą obojętnością kręcił się koło tubylców, wiążących nogi antylopy uderzając od czasu do czasu dzióbem w jakieś słabsze miejsce trupa.

Wyprawiłem murzynów w stronę drogi, a sam w towarzystwie przewodnika skierowałem się w głąb lasu. Tu w chłodnym cieniu gęstwiny wrzało życie, pełne niezawsze harmonijnego gwaru. Na gałęziach drzew i krzewów uwijało się gromadami ptactwo, przelatujące w mrokach zarośli niby tajemnicze elfy, świecąc w przedzierających się gdzie niegdzie przez baldachim zieleni promieniach gorącego słońca, bogactwem niezrównanych barw. W gęstwie zbitych, kolczastych mimoz siedziała gromadka niewielkich, skromnych ptaszął, koncertując chóralnie. — Solista zawodził dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosikiem: diń, diń, diń, doń, doń, a stadko odpowiadało mu natychmiast gremjalnie: doń doń, dzyń, doń. W koncert ten, rzeczywiście miły uchu, wdarł się nagle przeraźliwym dysonansem piskliwy falset — to papugi, chcące widocznie zagłuszyć skromnych śpiewaków, darły swe gardziele, wydobywając głosy fałszywe i przykre, tak nie licujące z ich pięknem upierzeniem, koloru wody morskiej. Czasem gdzieś z gęstwiny lian rozlegały się głosy niewidzialnych ptaków i wtedy zdawało się, że ktoś uderzał lekko w cymbały, biorąc początkowo akordy słabe, potęgując je powoli, a kończąc głośnem uderzeniem w miedziany gong [1]).

[1]) Bębenek chiński.

Najenergiczniej jednak oznajmiały swą obecność turkawki i duże zielone gołębie, gruchając zawzięcie.

Prawdziwą plagą w tej parnej gęstwinie były roje much, muszek i bąków, gryzących boleśnie i cisnących się natrętnie do oczu, ust i nosa. Walka z tym latającym wrogiem, atakującym bez przerwy ze wszystkich stron, przyprowadzała mię wprost do rozpaczy, to też z uczuciem prawdziwej ulgi wyszedłem z gęstwiny w dżunglę suchą, sprażoną słońcem, gdzie jednak słaby wietrzyk mile łechtał i chłodził oblane potem ciało.

W niewielkiej odległości od gęstwiny, którą dopiero co opuściłem, widać było na wzniesieniu mały gaik cienistych drzew oraz czerwone mury spalonych i dawno porzuconych okrągłych chat murzyńskich i tam postanowiłem przebyć godziny południowe. Gdym jednak zbliżył do gaju, z gęstwiny wybiegło kilkanaście dużych jak konie antylop tankonów [1]) (Bubalis Caama) i ciężkim powolnym galopem oddalało się w dżunglę. Wybrałem największego samca i dałem ognia. Zwierz zachwiał się lekko, ale pobiegł dalej i znikł mi z oczu, zanim zdołałem posłać drugą kulę. Przewodnik mój w paru skokach był już na śladzie zwierzęcia, a po kilkunastu krokach począł radośnie bić rękami po gołych biodrach, wskazując przytem na ziemię. Zrozumiałem natychmiast jego radość. Ślady antylopy, znaczące się zrazu ostro i zwarto, szły dalej rozszerzone w kształcie kąta ostrego, co niezbicie wskazywało, że zwierzę jest ciężko ranne i daleko ujść nie może. Puściliśmy się w pogoń i już po przejściu kilkuset metrów zobaczyłem tankona, leżącego na ziemi. Murzyn podskoczył do antylopy z nożem w ręku, lecz ta błyskawicznym ruchem podniosła się z ziemi i uderzyła napastnika głową tak silnie w piersi, że przewodnik

[1]) Terminologja miejscowa.

mój, wywinąwszy w powietrzu prawidłowego koziołka, klapnął brzuchem na ziemię. Antylopa wolnym i niepewnym krokiem ruszyła w pobliską gęstwinę, lecz już po paru krokach położyła ją na ziemię kula, wymierzona pod łopatkę.

Zdobycz to była rzeczywiście piękna, ze względu na skórę, pokrytą gęstym, krótkim, bronzowym włosem, i na wspaniałe rogi, grube u nasady, zagięte w połowie pod kątem prostym i bardzo ostre na końcach. Wypatroszona antylopa ważyła 270 kilogramów i trzeba było ośmiu murzynów do wyniesienia jej na drogę, gdzie czekał półciężarowy automobil, którym trofea dnia tego przewieziono do Bodikaha.

NIEDŹWIEDŹ.

Szumiąca zwykle, poważna tajga, otaczająca góry Sajańskie, spoczywała bez ruchu, grzejąc się w ciepłych południowych godzinach w jasnych promieniach słońca, które ciekawie przedzierało się przez zbity, gęsty baldachim konarów i szpilek drzewnych, szukając pękatych czarnych jagód borówek lub różowych soczystych malin. W tajemniczym mroku borów drzemało wszystko, prócz maleńkich, jak mak, muszek, tańczących w wąskich pasmach promieni słonecznych i natarczywie wdzierających się w głąb tajgi, poprzez przedarte gdzie niegdzie sklepienie boru. . .

Ogólną leniwą siestę południową mąciły nieprzerwanym monotonnym hukiem liczne wodospady wąskich siklaw, które biją przez wieki w płyty skalne i drążą w nich misy, lub rzucają niekiedy w to dzieło stuleci ogromne kamienie, oderwane gdzieś od trzona. W innej stronie huczały donośnie rzeki, waląc z wściekłością masami wód w wystające ostro progi, plując na nie w bezsilnej złości pianą, otaczając je mgłą rozpylonej wody, która w słońcu świeciła barwami tęczy. Gdzieś znów, od śnieżystych szczytów, szemrały tajemniczo cieniuchne strugi ledwo widocznych potoków, rozbijały się na zwaliskach skalnych w tysiące srebrnych nitek i ginęły, wchłonięte przez gęstą trawę hal, by niżej w leśnych rejonach zebrawszy się w burzliwe po-

toki, runąć karkołomnemi skokami wodospadów w bezdenne przepaście, przeświecając blaszkami złota, zmytemi z macierzystych pokładów.

Wśród tej cichej, drzemiącej tajgi, napełnionej mocnym żywicznym aromatem, przeciskaiem się przez gąszcza leśnego podszycia z kozakiem Andrzejem, wracając do naszej chatki myśliwskiej z kilkudniowej włóczęgi za maralami.

Zawieszone na plecach pęki rogów maralich ciężyły nam nadmiernie, to też nieraz spoczywaliśmy na polanach, wysłanych bujną miękką trawą, nieraz też chłodziliśmy zlane potem ciała w pieniących się nurtach górskich rzeczek.

A droga była coraz bardziej uciążliwa, bo bory to są dziewicze, splątane i niedostępne. Gdzie niegdzie tylko wiją się ścieżki, wydeptane przez stada jeleni, tu i owdzie znaczy się jeszcze dawna ścieżka, którą prowadzono juczne konie, wiozące z Syberji do Urjanchaju towary, a przywożąc wzamian skóry i srebro, lecz ścieżki te bierze już tajga w swe posiadanie, waląc na nie spróchniałe pnie połamanych starością i burzami drzew lub pokrywając je gęstwą szpilkowego młodnika.

Na intruza, wdzierającego się w głębie leśne, na myśliwego, czy poszukiwacza rud i złota, zastawia tajgą tysiące zasadzek, pilnie strzegąc swych tajemnic. Tu i owdzie pod piękną zielenią traw kryją się zdradliwe grząskie błota, po których lekko przebiegają olbrzymie łosie, a w których tonie niedoświadczony myśliwy, gdzie niegdzie pod gęstemi splotami krzaków kryją się bezdenne czarne otchłanie, lub równy, wygodny do pochodów grunt polan kończy się nagle prostopadłą prawie ścianą, spadającą wdół ku huczącym po skałach wodospadom. Bór gęsty, mroczny, wyrasta na powalonych kolosach. I tamą nogi toną w próchnicy, plączą się w gęstych sieciach giętkich ożynowych łodyg. Gdzie-

niegdzie ogromne przestrzenie lasów leżą powalone przez orkany i tworzą nieprzebyte wprost barykady z połamanych pni i gałęzi, z powyrywanych korzeni na których wiszą niezmyte deszczami płaty ziemi z zielonym zawsze mchem. Karczowiska takie zarastają zwykle gęstwiną malin, których słodkie jagody ściągają łakome niedźwiedzie oraz gromady różnego ptactwa, na które polują tu chytre lisy, krwiożercze gronostaje i kuny. Czasem chyłkiem przemknie po zwalonym pniu bystrooki ryś i zniknie gdzieś w labiryncie gałęzi, to znów tchórz mignie swem śmigłem ciałem w pogoni za wiewiórką lub z błękitnego sklepienia niebios zwali się, jak kula, ogromny jastrząb lub orzeł w stado cietrzewi lub głuszców.

Są w tajgach miejsca, w które w letniej porze próżnoby człowiek starał się dostać, chociaż ostępy te obfitują w cenną zwierzynę; dopiero gdy mrozy zetną grząskie topiele, gdy śniegi zrównają rozdoły i przepaście, gdy przykryją wysokiemi zaspami splątaną gęstwinę podszycia, wtedy myśliwy, uzbroiwszy nogi w lekkie myśliwskie narty, podszyte skórą z kolan końskich, może wdzierać się bezkarnie w tajemnicze zakamarki i napawać wzrok świeżą, dziką dziewiczością przyrody.

Torując sobie drogę toporkami w gęstym młodniaku, przeszliśmy w bór stary, mroczny, tajemniczy, gdzie potężne sosny i cedry wiązały się z sobą konarami, a ziemia porośnięta była miękkim kobiercem krzewów borówkowych. Czasem z pod nóg naszych wyrywały się stada jarząbków, czasem głuszec spłoszony wzlatywał na gałąź cedru i przekrzywiając dużą głowę, spoglądał na nas z pod czerwonych brwi.

Szliśmy jednak szybko, puszczając mimo zrywające się jelenie i sarny, aż bór począł rzednieć, przeświecać i oczom naszym ukazała się ogromna polana, porośnięta

prawie zupełnie krzakami malin. Czerwone, soczyste jagody zwieszały się ciężko z krótkich łodyg, wabiąc powonienie swym miłym zapachem.

Spragnieni byliśmy nie na żarty, zabraliśmy się przeto na dobre do jagód. Andrzej, chcąc nazbierać owocu na zapas, złożył przy mnie wiązkę rogów maralich i poszedł w gęstwinę ku widniejącej zdala samotnej brzozie, aby z kory tego drzewa zrobić puszkę na jagody. Ja tymczasem myszkowałem w krzakach, zbierając co najładniejsze maliny. Przechodząc od krzewu do krzewu, poczułem nagle silny, specyficzny zapach niedźwiedzia. Zbadawszy kierunek wiatru, ruszyłem ostrożnie naprzód i na pochyłości ogromnej skały, pokrytej mchem, zobaczyłem potworne cielsko niedźwiedzicy, grzejącej się w słońcu, obok zaś niewielkiego niedźwiadka, który, siadając na tylnych łapach, przedniemi zgarniał pęki malin i głośno cmokając, objadał jagody. Odległość między mną a zwierzyną wynosiła przeszło trzydzieści kroków, wiatr wionął w moją stronę, mogłem przeto zupełnie niepostrzeżenie patrzeć na tę niedźwiedzią idyllę. — Początkowo zdawało mi się, że niedźwiedzica śpi, gdyż leżała dłuższy czas bez ruchu, lecz przypuszczenie moje okazało się mylnem, bo w chwili, gdy malec zagłębił się w gęstwinę, podniosła powoli swą ogromną głowę i pełnym niecierpliwości pomrukiem przywołała swe dziecię.

Niedźwiadek niezręcznie wgramolił się na kamień, a niezadowolony widocznie z powagi matki, jął baraszkować po jej ogromnem cielsku, dobierając się przytem do uszu rodzicielki i szarpiąc je niemiłosiernie. Dłuższy czas znosiła niedźwiedzica figle swego jedynaka spokojnie, ale wyczerpała się widocznie jej cierpliwość, bo nagle przygarnęła łapą niedźwiadka ku sobie, a drugą wlepiła mu parę porządnych klapsów, po których malec z głośnym skowytem zemknął w krzaki.

W tej samej chwili zobaczyłem, że niedźwiedzica podniosła się w całej okazałości i wydawszy ze siebie straszliwy ryk, zniknęła za malcem; równocześnie rozległ się huk wystrzału, a po nim ryk tak donośny, jakby kilkadziesiąt gromów uderzyło w polanę.

Pobiegłem szybko na miejsce, gdzie przed chwilą leżało zwierzę, i z wysokości skały zobaczyłem widok mrożący krew.

Po zboczu polany, przez niewysokie krzewy, zmykał Andrzej, przeskakując jak jeleń przez zwalone pnie, a za nim toczyła się bura masa cielska niedźwiedzicy.

Widziałem, że Andrzej zmierza do ogromnego cedru, który jak patrjarcha stał otoczony laskiem młodzieży, postanowiłem przeto chociaż na moment powstrzymać zwierzę. Mierzyłem kilkakrotnie, ale strzał był niezmiernie trudny, bo tak kozak jak i jego prześladowca kryli się co chwila w wykrotach, to znów pokazywali się prawie równocześnie na pniach i kłodach. Strzał musiał być bardzo dokładny, mógł bowiem zamiast niedźwiedzia dosięgnąć Andrzeja. — Nagle kozak nie obrachowawszy widocznie skoku, czy zaplątawszy się w jakiś krzak, runął na ziemię i w tejże prawie chwili nakryło go cielsko niedźwiedzicy. Strzeliłem. Zwierz z rykiem podniósł się wgórę, począł z wściekłością rozdzierać gałęzie leżących drzew, ale po chwili przewalił się przez zagradzającą mu drogę kłodę, a w tej samej chwili zobaczyłem kozaka, który wychyliwszy się ze stosu gałęzi o kilka kroków od miejsca swego upadku, w kilkunastu susach dopadł zbawczego cedru.

Zsunąłem się z kamienia, biegnąc przyjacielowi memu na pomoc. Kilkakrotnie przewracałem się na wykrotach, lub zaplątywałem się w gęste zwoje ożyn, a tymczasem od strony cedru dochodziły mię coraz groźniejsze ryki niedźwiedzia i głuche jakieś uderzenia o pień.

Przebywszy wreszcie ostatnią przeszkodę, którą stanowił wał połamanych gałęzi i potrzaskanych przez wiatr pni, stanąłem jak wryty, bo to co zobaczyłem, przechodziło najśmielsze moje oczekiwania.

Wkoło olbrzymiego cedru kręcił się niedźwiedź, stojąc na tylnych łapach, przedniemi zaś obejmując pień, starał się uchwycić Andrzeja, który, cofając się przed napastnikiem, uderzał od czasu do czasu toporkiem w zbyt blisko przysuwające się do niego łapy zwierzęcia. Za każdem uderzeniem z łap niedźwiedzia tryskały strumienie krwi, a zwierz przysiadał wtedy, potrząsał okaleczonemi członkami i ryczał tak donośnie jakby chciał zwołać z tajgi wszystkie niedźwiedzie.

Miałem stanowisko bardzo wygodne i mogłem niedźwiedzicę natychmiast powalić strzałem, lecz wstrzymałem się, bo zwierzę odeszło od pnia i całem swem zachowaniem się zdradzało, że przedsięweźmie coś takiego, co niewątpliwie odda jej na pastwę broniącego się człowieka.

Trzymając gotowy do strzału karabin — czekałem, co będzie dalej.

Niedźwiedź podszedł do grupy zwalonych pniaków, chwycił jeden zakrwawionemi łapami, następnie zawlókł do cedru, za którym stał Andrzej, układając pniak w ten sposób, że tworzył on rodzaj przeszkody, potem zwierzę ruszyło naokolo cedru, goniąc kozaka. Gdy jednak Andrzej bez żadnej trudności przeskoczył przeszkodę, niedźwiedzica stanęła chwilę, jakby się nad czem zamyśliła, a potem zaczęła przyciągać gałęzie i połamane pnie, układając z tego wcale pokaźny stos, przez który kozak nie mógłby przesadzić.

Nie czekałem więc na dalszy przebieg walki między zwierzęciem i człowiekiem, lecz wybrawszy odpowiedni moment, strzeliłem, pakując kulę w potworny łeb niedźwiedzia.

Zwierzę, nie wydawszy nawet jęku, zwaliło się na ziemię. Z za cedru wyszedł pobladły i zlany potem Andrzej i dysząc ciężko, jął opowiadać, w jaki sposób zupełnie przypadkowo omal nie postradał życia. Gdy ja zbierałem maliny, Andrzej, zrobiwszy z brzozowej kory pudełko, ruszył w gęstwinę krzaków, gdzie zobaczył najpiękniejsze jagody. Zbliżając się ku nim wąską ścieżką, zobaczył nagle tuż przed sobą niedźwiadka i nie bacząc na to, że pewno gdzieś blisko jest matka, chwycił niezgrabne zwierzątko za kudły. Niedźwiadek wydał z siebie przytłumiony piskliwy głos i w tejże samej chwili kozak usłyszał ryk niedźwiedzicy, a potem zobaczył ją samą. Andrzej momentalnym ruchem zerwał z pleców karabin i dał ognia. Widocznie jednak strzał niewiele szkody wyrządził zwierzęciu, bo szło ono dalej, Andrzej zaś, widząc, że nie zdoła drugi raz nabić broni, rzucił się do ucieczki. W pewnej chwili kozak, zaplątawszy się w gałęzie, upadł i w tej chwili posłyszał mój strzał.

Niedźwiedź zwalił się na myśliwego, ale gdy zwinny, chudy kozak wślignął się między stos połamanych pniaków i gałęzi, niedźwiedź z powodu ogromu swego ciała dokazać tego nie mógł. Upadając, zgubił jednak Andrzej swój karabin i dlatego musiał się bronić toporkiem.

Zabita przez nas niedźwiedzica należała do olbrzymów w swym rodzie, miała bowiem piętnaście piędzi długości.

Długo szukaliśmy potem małego niedźwiadka, ale wysiłki nasze spełzły na niczem; zwierzątko zaginęło gdzieś w gęstwinie i pędziło zapewne dalej życie sieroty-włóczęgi.

ANKA

Szeroka kotlina burzliwego górskiego potoka, zdążającego do Angary, kąpała się w purpurowych promieniach zachodzącego słońca.

Złotawym blaskiem jaśniały korony drzew, mieniły się barwą roztopionej miedzi urwiska skalne, szkliły obfitą rosą trawy i mchy zielone.

Pod osłoną masywu skalnego, tworzącego jakby prostopadłą ścianę porośniętą tu i owdzie skąpemi mchami, stał duży namiot sklecony z żerdzi, a pokryty skórami renów i łosi. Ciemne wnętrze namiotu oświetlało wesoło płonące ognisko, nad którem na drągach wisiał spory żelazny kocioł, buchający mile łechcącą podniebienie wonią tłustej reniferzyny. Przy jasnych blaskach ogniska widać było starą Tunguskę, zaprawiającą gotujące się mięsiwo solą i jakiemiś ziołami, opodal zaś młoda szesnastoletnia dziewczyna, ubrana w biały łosiowy kubraczek, wyszywany na wzór jakucki, rozwieszała na żerdziach mokre sieci, na których błyszczały jeszcze gdzie niegdzie jak perły, srebrzyste łuski ryb.

O kilkanaście kroków od skalistego występu, leżało na mchach kilkanaście renów, flegmatycznie przeżuwając strawę.

Leżąc na miękkiej łosiowej skórze, odpoczywałem po całodziennej włóczędze po tajdze w poszukiwaniu zwierzyny. U nóg moich bawił się mały, nagi zupełnie

dzieciak tunguski świecąc swem bronzowo opalonem ciałkiem, które zachodzące promienie słońca malowały na czerwony prawie kolor.

Ogólną ciszę wieczoru mącił tylko głuchy szum potoku, bijącego swemi wodami w wystające granie skalne, a czasem przenikliwe kwilenie jastrzębia lub ostry krzyk orła, który gniazdo swe rozesłał na starej rozłożystej sosnie.

Wieczerza była już prawie gotowa i stara Tunguska gestami zapraszała mię do biesiady, — wolałem jednak czekać na gospodarza obozowiska, przyjaciela mego Tunguza Eleja, który poszedł na pobliskie rozlewisko opatrzeć pašci na wydry.

Elej był jednym z najbogatszych i najbardziej poważanych w swym szczepie. Liczne stada jego renów pasły się po tundrach pod opieką starszych synów, dzielnych Tunguzów, Elej jednak, będąc namiętnym myśliwym, z nieliczną tylko rodziną koczował w miejscowości obfitujące w zwierzynę, zdobywając skóry i futra, które następnie z dobrym zyskiem sprzedawał kupcom rosyjskim.

W wyprawach łowieckich często towarzyszyła mu jedynaczka, córka Anka, która równie dobrze władała zaprzęgiem renów jak oszczepem i inną bronią. — Często na polowaniach na łosie lub jelenie przewodnikiem moim była ta młoda dziewczyna i jakkolwiek, polując wiele i obcując z dziką przyrodą, byłem dosyć zaprawiony do tego trudnego i żmudnego procederu,— nieraz ze zdumieniem patrzyłem na to dziecko przyrody o ruchach szybkich i pewnych, w których jednak przebijała się duża doza budzącej się kobiecości.

Anka uczyła mię zastawiać pašci i wnyki, uczyła rozpoznawać i tropić zwierzynę, wodziła mię po grząskich topieliskach, przez które lekko przechodzi ciężki łoś, a w których bez śladu zginie człowiek, nie znający

ścieżek, lub nie obdarzony instynktem samozachowawczym, tak silnie rozwiniętym u nawpółdzikich plemion północnych.

Nieraz po całodziennem gonieniu za zwierzyną, wypoczywając przy ognisku, opowiadała Anka o życiu zwierząt, ich zwyczajach, o sztuczkach łowieckich różnych rabusi leśnych — i wtedy podziwiałem jej wysoko rozwinięty zmysł obserwacyjny i miłość przyrody, która przebijała się prawie z każdego słowa.

Słońce rzuciło ostatnie krwawe blaski na kotlinę i zasunęło się za góry, a duży srebrzysty krąg księżyca w pełni oświecił lekkie tajemnicze mroki.

Anka skończyła swą pracę przy sieciach — a wyjmując z kotła duży kawał mięsiwa, z uśmiechem zapraszała mnie do wieczerzy.

Podniosłem się ze skór, ale w tejże chwili uwagę moją zwróciło głośne pluskanie wody w potoku i chrzęst łamanych gałęzi.

Porwałem leżący obok karabin i w kilku skokach byłem już przy rzeczce.

Na brzegu potoku, trzymając się tylną łapą wiotkiego pnia brzózki, leżał ogromny niedźwiedź, wyciągając przedniemi łapami wystający z wody więcierz na ryby, zrobiony z wikliny, tuż obok na brzegu leżał takiż sam połamany kosz, a kilka drobnych rybek rzucało się gwałtownie wśród stratowanej trawy.

Sucha jakaś gałązka złamała się z trzaskiem pod moją nogą i zwierz obrócił się szybko, przez mgnienie oka popatrzył na mnie swemi małemi oczkami i, wydając głośny ryk, podniósł się na dyby.

Podniosłem karabin do oka.

Na moment muszka broni zatrzymała się na otwartej paszczy zwierza, — pociągnąłem za cyngiel.

Ozwał się tylko suchy trzask sprężyny — nabój nie wypalił.

Gwałtownym ruchem szarpnąłem zamek karabinu wyrzucając niewypalony nabój, a następnie wsunąwszy rękę w kieszeń kurtki, chciałem wyjąć nowy, — jednakże przez przedartą podszewkę kieszeni naboje zsunęły się między sukno i mimo rozpaczliwych wysiłków nie mogłem ich chwycić palcami.

Niedźwiedź był już zaledwo o kilka kroków.

Widziałem dokładnie rozwścieczone oczy zwierzęcia, błyskające straszliwe kły i ogromne kudłate łapy, wzniesione jakby do uścisku.

— To śmierć, — smagnęła mię nagle jakąś rozpaczliwa myśl, ale — jakby zahipnotyzowany wzrokiem zwierzęcia, nie mogłem się ruszyć z miejsca. Nogi zdrętwiały mi nagle i jakby wrosły w ziemię — ogromnym tylko wysiłkiem woli zmusiłem się do przekręcenia karabinu, by ciężkiem łożyskiem uderzyć w kudłaty łeb.

W chwili, gdy podnosiłem broń wgórę, ukazała się nagle między mną a niedźwiedziem zwinna postać Anki. Dziewczyna podniosła wgórę duży nóż, który na chwilę błysnął w bladych promieniach księżyca i całą siłą swego młodego ramienia wbiła klingę w pierś zwierzęcia, gwałtownym ruchem rwąc ostrze wdół.

Niedźwiedź ze straszliwym rykiem bólu zwalił się na ziemię, w to miejsce, gdzie przed paru sekundami stała dziewczyna, lecz ta jak żmija prześliznęła się między potwornemi łapami zwierzęcia i błyskawicznym ruchem wetknęła mi w dłoń toporek.

Uderzyłem z całych sił, kierując ostrze w kark niedźwiedzia, tuż u nasady głowy i już po chwili olbrzym ostatniemi skurczami pazurów rwał skrwawioną trawę.

Bez słowa uścisnąłem drobne rączyny Anki — patrzącej na mnie przez łzy, płynące wolno z jej czarnych, jak wody Bajkału oczu.

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA

SPIS RZECZY

Str

Argali 1
Wilki 15
Marale 22
Mój pierwszy słoń 30
Kozły skalne 42
W dżungli afrykańskiej 54
Niedźwiedź 64
Anka 71